



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

### MOTTO DO BAJKI.

Młodziutką, dziecinną  
Jak anioł niewinną  
Dziewczyne myśl lekka przenika;  
Ujrzała, poznała,  
I serce oddała  
Na pastwę motyla wietrznika.

Wierzyła, kochała,  
I życie-by dała,  
By patrzeć w te oczy, w te czarne.  
Porzucił, nie wrócił,  
I spokój jej skłócił;  
I uniósł przysięgi swe marne.

Tęskniła, wierzyła,  
Za wiatrem gonila;  
Wiatr uniósł marzenia jej złote —  
I serce stargane  
I czoło zorane  
I wieczną zostawił tęsknotę.

G. J.

### KRÓLEWSKIE SWATY.

(„Le mariage d'un Roi” par Paul de Raynal. Paris 1887).

(Dokończenie).

Uchwalono niebawem i warunki oprawy nowej królowej, która miała dostać 50,000 talarów w zło-

cie na szpilki; 250,000 liwrów w dniu połączenia się z królem, wreszcie dożywocie w kwocie 20,000 talarów rocznego dochodu, na wypadek owdowienia. Wszystkie te warunki, niegdyś infantce zapewnione, teraz zastosowano do nowej narzeczonej. Jednocześnie przystąpiono do złożenia przyszłego dworu królowej; przyczem intrygi, właściwe epoce, nowe znalazły a szerokie dla siebie pole. Ostatecznie dom córki biednego wygnańca stanął na odpowiedniej stopie, obejmując ni mniej ni więcej tylko trzysta dwadzieścia ośm różnych osób i urzędów!

Nowe trudności wynikły o miejsce ślubów królewskich. Nie wypadło, aby taka miłośnica, jak Wissenburg stała się teatrem dziejowego wypadku. Zkądinąd Leszczyński nie mógł odpowiednich do położenia oblubieńców wyprawić godów z powodu wielkiej *rerum angustia*. Bourg ofiarował dom swój na mieszkanie przyszłej swej pani, zachwalając Strasburg, jako miejscowość godzącą wszelkie wymagania co i w Paryżu i w Wissenburgu dwustronnie przyznano.

Zostawała w zawieszeniu kwestya prokuracyi. Zawistny Orleanom książę de Bourbon zrazu nie chciał słyszeć o poruczeniu pierwszemu księciu krwi zaszczytnej misyi przedstawiania osoby królewskiej przy obrzędzie ślubnym. Owszem dla uniknięcia tej najnaturalniejszej ewentualności, wpadł na potworny pomysł oddania prokuracyi samemu Leszczyńskiemu. Przekonano go niebawem, jak wstrętnym i niemożliwym byłby widok ojca zaślubiającego własną córkę; ustąpił tedy i mimo własnej niechęci, powierzył ks. Orleańskiemu zastępstwo królewskiego oblubieńca.

Zachodziła jeszcze wątpliwość co do dnia naznaczonego na obrzęd ślubny. Leszczyńscy, żywym przejści nabożeństwem dla Najświętszej Panny, postanowili nieodwołalnie naznaczyć ceremonię na dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej. Nie napotkali w tem na żadne trudności. Wogóle

zarliwa pobożność rodziny wygnańczej występuje tu na każdym kroku.

Etykieta wymagała zastąpienia dawnego otoczenia królewskiej oblubienicy całkiem nowym dworem. Król Stanisław o jedno tylko prosi: ażeby spowiednikowi córki wolno było jej towarzyszyć i przy niej jakiś czas zabawić, nim kierownictwo jej duszy w inne odda ręce. Książę de Bourbon przychyła się ku tej prośbie, uprzednio dokładnie się wywiedziawszy o charakterze sędziwego Ojca Jezuita, który księżniczkę po części wychował. W chwili, gdy dyskusye religijne i odcienie w zasadach tak bardzo zapalały umysły, musiało mieć szczególną uwagę zapewnienie, iż księżniczka „głęboko jest pobożną bez bigoteryi, nie zajmuje się różnicami, w poglądach teologicznych ogranicza swą teologią na katechizmie.”

Na sześć tygodni przed ślubem rodzina wygnańcza przeniosła się do Strasburga. Król Stanisław z biedą wystarał się o potrzebną ilość pojazdów, dopełnił żądanej liczby paziów, ale mniej, zaiste, się troskał o świetne wystąpienie, aniżeli o użycie tych ostatnich dni na przygotowanie chrześcijańskie ukochanej córki, przed którą otwierała się przyszłość pełna niepewności, przeciwności i pokus, nieodłącznych od wyniosłego stanowiska i życia dworskiego.

Tymczasem do Paryża nadchodziły coraz-to bardziej obiecujące i zadawalniające szczegóły o przyszłej królowej. Najciekawszym jest dokument znaleziony przez autora w archiwum wydziału spraw zagranicznych.

Postanowiwszy nowych dla swego pana szukać związków, a nie zaspokojony iście donżuanowym spisem stu kandydatek, książę de Bourbon wyprawił był nadzwyczajnego posła do Niemiec, z poleceniem zwiedzenia z kolei wszystkich dworów Rzeszy, rojących się od urodziwych i zdrowych księżniczek. Poseł rozpoczął swój objazd od Wissenburga, wszędzie zapisując swe wraz-

nia. Teraz wrócił z objazdu właściwie po czasie, skoro wybór już przedtem był zapadł. Niemniej numer pierwszy urzędowego raportu, acz spóźniony, musiał utwierdzić jeszcze rządów Francji w zadowoleniu płynącym z powziętego uprzednio postanowienia. Oto ustęp w mowie będący:

„1-o Marya-Charlotta-Zofia-Felicja Leszczyńska, ur. 23 Czerwca 1703 r.

„Księżniczka ta niskiego jest wzrostu, acz nieco wyższa od młodej Księżny Orleańskiej; kibić ma kształtną i smukłą, ruchy wdzięczne, główkę ładnie osadzoną, włosy ciemno-blond, czoło wyniosłe, brwi w łuk zarysowane, oko zagłębione, nieduże, ale pełne ognia i rozumu, lica okrągłe i rumiane, nos trochę przydługi, ale ani gruby, ani czerwony, ani haczykowaty, prędzej nawet kształtny, usta, ani wielkie, ani małe, wargi czerwone, płec świeża, bez różu, woda kryniczna lub śnieg roztopiony jedynym kosmetykiem, jakiego używa; wyraz miły i wesoly, głos łagodny i przyjemny; uszko małe i zgrabne, ramiona ładne choć nieco chude, ręka obojętna, lecz biała. Do bystrego pojęcia łączy wytworną umysł kultury. Dobroczyzna, liściowa, miłosierna, wspaniałomyślna, dumna nie jest, choć nikogo do bliższej z sobą konfidencji nie dopuszcza, dla sług pełna dobroci i od nich ubóstwana. Budząc się między szóstą a siódmą, odrazu zabiera się do pracy. Już w łóżku czyta książki pobożne, dzieła historyczne, zna dobrze geografją, chronologją, genealogją. W domu zawsze do niej się odwołują w kwestjach dotyczących historii francuskiej, utrudnionej zmianami nazwisk. Wstaje zimą między ósmą a dziewiątą, i odrazu na cały dzień się ubiera. Poczem udaje się na pokoje królowej i cała rodzina królewska słucha Mszy Ś-tej. Obiad między 11-tą a 12-tą jada z matką, z babką i hrabiną Linange; król bowiem sam obiada. Za ledwie półgodziny bawia przy stole, resztę dnia spędzając na robocie i haftach kościelnych, różnym kościołom w darze następnie składanych. Księżniczka głęboko jest religijna bez bigoteryi, gorąco kocha rodziców, od których nawzajem tkliwie jest miłowaną. Nie masz w niej żadnej górującej namiętności. Ładnie tańczy, gra na klawikordzie, śpiewa niekiedy, miły posiadając głosik. Brak metrów i sposobności przeszkadza jej w dalszem wydoskonaleniu talentów. Umie poniemiecku, po francuzku mówi doskonale. Umiarowana we wszystkim, pije mało, za ledwie trochę wina do wody dodając. Czerstwa i zdrowa, nigdy nie choruje, co jest sztuką w jej położeniu, przy braku ruchu i tylu przykrościach, które znosi mężnie i bez skargi. Co najwięcej, powtarza niekiedy, iż radaby widzieć rozwiązanie ostateczne zagadki przedstawiającej losy jej rodziny. Pod względem powierzchowności i wesołego humoru wiele ma podobieństwa z ojcem. Przeżyła ospę, żadnego nie zachowawszy znaku. Umysł to giętki, który przybierze kształt i kierunek, jaki mu dodać zechcą. Widziałem ją w tańcu, nad robotą, rozmawiałem z nią i z jej służbą. Pani ta, acz nie piękna, niewoli słodyczą, rozumem i całym postępowaniem, słowem: jest to zbiór doskonałych cnót wszelkich.”

Zmysł postrzegawczy francuskiego dyplomaty dziwnie musiał być trafny i zastrzyżony, skoro tak szybko odgadł i ocenił te wszystkie zalety i przymioty, które mi Marya Leszczyńska w całości późniejszym życiu odznaczać miała. Jeśli w czem zawiodła, to jedynie w mniemanej giętkości charakteru, mogącego się dowolnie kształtować, co zachwyliło kamaryllę wersalską. Niebawem przekonać się mieli sposobność, iż nowa królowa umiała być aniołem przebaczenia, pokory, hartu, lecz narzędziem niczyjem nie została nigdy.

Poufna korespondencya księcia de Noailles potwierdza dobre wrażenie, jakie przyszła ich pani sprawiała na zbliżających się do niej Francuzów. „Niema pochwał dość wymownych dla księżniczki przez Najjaśniejszego Pana obranej. Osoba jej pełna powabu, acz nie jest ściśle piękną, wdzięki jej potęguje umysł bogato uposażony i rozwinięty. Czemu zaś dość się nachwalić w niej nie można, oto gruntownej pobożności, której zaczerpnęła w przykładach rodzinnych. Jest więc

nadzieja, że Bóg raczy temu związkowi pobłogosławić, a, zaiste, są wszelkie rękojmie szczęścia w połączeniu się naszego monarchy z osobą tak znaczną urodzeniem, wychowaniem i cnotą.”

Nie wdajemy się tu w szczegółowy opis uroczystości weselnych, zasepionych na trzeci dzień tkliwym pożegnaniem z ukochaną rodziną. Król Stanisław zgotował jedynaczce niespodziankę i na pierwszym popasie doścignął orszak królewski, aby raz jeszcze córkę pożegnać i przeżegnać. Ze wzgórza następnie patrzył na wspaniałą pochod wiodącą ją ku stopniom największego w świecie tronu. Podróż trwała przeszło dwa tygodnie z powodu ciągłych deszczów i oplakane go stanu drogi. Stęskniona za rodzicami córka śle im ustawicznie wrazenia swe z prawdziwie zaczarowanej mimo soty podróży. Między innymi pisze do ojca: „Pocziwi Francuzi robią, co mogą, aby mnie zabawić; śliczne mi prawią rzeczy, tylko jednego nie mówią: że ciebie niebawem zobaczą. A i tego się spodziewam, podróżując jakoby w czarodziejskim państwie i coraz-to nowym ulegając przemianom. To jestem piękniejszą od gracyi, to znów od muz zdolniejszą; tu przyznają mi cnoty anioła, tam wzrok mój cuda czyni; wczoraj byłam światła arcydziełem, dziś dobroczynną gwiazdą. Wszyscy idą w zawody, aby mnie wynosić do rzędu bóstwa, i jutro zapewne stanę ponad zastępy nieśmiertelnych duchów. Chcąc rozwiać te złudne czary, ręką je z czoła zsuwam, aby odrazu odnaleźć tę, którą kochasz i która ciebie czule miłuje.”

Nieustająca słońca uwydatniła nędzę kraju, przez który królowa przejeżdżać musiała. Żniwa przepadły skutkiem deszczów; chłopów zdaleka spędzano dla śpiesznej naprawy gościńca, co nie przeszkodziło, iż karetą królowej po kilka razy omaloco nie zagrzeźła. Widok ogólnej biedy wśród przyszłych poddanych, u bram nowego życia, przyczynił się do rozwinięcia w sercu młodej pani czynnej żądzy niesienia pomocy ubóstwu.

Nowy szereg uroczystości naznaczył spotkanie królewskich oblubińców. Ludwik XV wydawał się zachwyconym, szczęśliwym. Gdy po ślubnym obrzędzie odprowadził królową na jej pokoje, aby odebrać tam hołd księżniczek i dam pałacowych, Marya pośpiesznie rozdała im swe klejnoty, z prostotą wyznając, iż po raz pierwszy w życiu nadarza się jej sposobność i możność dawania podarunków. Zewsząd podniosły się głosy pochwalne, a szczerze i jawne przywiązanie młodego małżonka przechodziło nadzieje tych nawet którzy ten związek obmyślili.

Tytuł książki i zadanie, jakie sobie postawił autor, pozwalały przewidywać, że opowiadanie ślubu zakończy monografią. Dalsze atoli listy Stanisława Leszczyńskiego do hrabiego du Bourg zawierają tak nieocenione szczegóły o pierwszych latach pożycia nowo-skojarzonego stadła, że pan de Raynal uległ pokusie wzbogacenia swej pracy kilku wyjątkami z owej dotąd nieznannej i niewyzyskanej korespondencyi.

Rodzicom królowej przeznaczono niebawem na mieszkanie zamek w Chambord, który snadź zawsze do wygnańców miał należeć... Przenosząc tamże swe wędrowne namioty, Leszczyński po drodze zjechali się z córką. „Nic ci nie piszę o naszym spotkaniu. Owe trzy dni nawet nie wystarczyły mi na rozejrzenie się w całym orszaku dworskim. Wyjechałem zachwycony wszystkim, com widział, a mianowicie moją najdroższą królową, która w pełni zasługuje na twe uznanie.”

Rozłączenie z przyjacielem stanowi jedyną ciemną stronę ze wszech miar dogodnego w Chambord pobytu. Król Stanisław znajduje się w swoim żywiole, wśród swoich książek i ustronnych lasów nowej swej siedziby. Wiele się też przyczynił do jej upiększenia, a jak wszędzie, tak i tutaj naznaczył swe przejście stałymi śladami niewyczerpanego miłosierdzia. Do dnia dzisiejszego lud wiejski z owych okolic chowa wierną pamięć dobrego króla wygnańca. Niezdrowe położenie zamku na letnie miesiące wywodziło rodzinę królewską do innej rezydencji; ale zamek w Chambord pozostał zawsze ulubionym miejscem pobytu Leszczyńskiego.

Dobry ojciec zrazu dostrzega tylko dodatnie strony wysokiego córki położenia: „Bogu najwyższemu dzięki!”—pisze do hrabiego du Bourg—„miłość króla dla królowej wciąż rośnie i wielkiem zaufaniem się wzmaga. Już nam tylko brak Delfina, Bogu zostawiając wybór czasu i czekając z poddaniem spełnienia się woli Jego świętej.” Chwilowe dworskie zamieszki już następnej zimy budzą troskliwy niepokój ojcowski, ale wnet dodaje, że stosunek królewskiej pary nie pozostawia nic do życzenia, prawosć zaś charakteru Maryi najlepszym jest dla niej sterem wśród otaczających ją intryg. Po dwóch latach zawodnych nadziei nareszcie błyska pewność bliskiego macierzyństwa. Dziadunio naprzód w listach rozpisuje się o spodziewanym delfinie, i nie tai rozczarowania swego, gdy zamiast wnuka, dwie wnuczki bliźnie na świat przychodzą. Ale niebawem i on się godzi „z dwiema *lalamis*, które ślicznie rosną i rozwijają się”, tembardziej, że król Ludwik, uszczęśliwiony córeczkami, gorętsze jeszcze daje dowody przywiązania małżonce. Co się odwlecze to nie uczucie: będzie więc delfin na rok przyszły. Nowy zawód, bo po roku przychodzi na świat trzecia córka. Ale nikt nie traci nadziei doczekania się następcy tronu.

Marya nierzadko odzywała się do wiernego przyjaciela ojca i z ufnością opisywała własne swe przygody i uczucia. Donosząc np. hrabiemu du Bourg o przelotnej chorobie króla, wyraża radość swą z powodu jego powrotu do zdrowia i dodaje: „kocham go bowiem jak chyba nigdy nie kochano! Błogość to szczęście w powinności znajdować.” Na innym miejscu donosi, iż zemdląla któregoś dnia. „Jeśli mi Bóg niebawem dozwoli znaleźć się w stanie, w jakim teraz być pragnę, tobie pierwszemu o tem doniosę. Ufam, że Bóg wysłucha życzenia dobrych mych poddanych. Umarłabym zadowolona gdybym im tę pociechę zostawiła.”

Nareszcie upragniony delfin przyszedł na świat pod koniec 1729 r. Król Stanisław zapadał wówczas na febrę; stracił ją pod wrażeniem radości z urodzenia wnuka. Dodaje też, że szczęście takie lepszym jest od chininy lekarstwem. Niebawem pośpieszył do Trianon, aby się nacieszyć widokiem córki i wnuczki, a wrazenia, jakie wywołał, były tego rodzaju, iż mu się zdało, „jakoby w czasie tych odwiedzin w żyły jego wlał kto orzeźwiający balsam.”

Wkrótce dziadunio marzy o drugim wnuku, który też na siebie czekać nie daje, ale, niestety, w dwa lata później umiera, pogrążając Leszczyńskiego w ciężki smutek. Mniej więcej w tym czasie korespondencya króla Stanisława zaczyna być mniej bogatą w poufniejsze rysy. Nadzieja powrotu na tron Polski, polityczne widoki częścię wypełniają zawsze częste listy do przyjaciela. Ogranicza się w nich wszakże król na głosłowem doniesieniu o rosnącej aż do jedenastu liczbie dzieci Maryi, bez żadnych bliższych o jej życiu szczegółów. Ta zmiana tonu korespondencyi tem bardziej uderza, iż gdy aż do r. 1730, dobry ojciec wciąż wspominał o uczuciach Ludwika XV względem żony, poczynawszy od tej daty milczy upornie, unikając zapewne przykrych i bolesnych zwierzeń. W tym bowiem czasie pojawiły się pierwsze zboczenia, pierwsze wiarołomstwa małżonka Maryi. Gdy zaś Stanisław Leszczyński powrócił z niefortunnej w Polsce kampanii, już pani de Mailly otwarcie i urzędowo zajmowała stanowisko faworyty królewskiej. *Męczennica na tronie* rychło się zaprawiała do drogi goryczy i upokorzeń i biedny jej ojciec dożyć musiał jej nieszczęścia, patrzeć na smutne, opuszczone jej życie. Miłość dzieci i miłosierdzie dla ubóstwa osładzało jej ciężkie i coraz cięższe przeznaczenie. Słusznie też autor uważa, iż wyrocznia stanowca, którą głos ludu wydaje, wcześniej odjęła Ludwikowi XV tytuł ukochanego *le bien aimé*, przyznany jego młodości, podczas gdy córce Leszczyńskiego nadała i zachowała podziś dzień słusznie należące się jej miano *dobrej królowej*.

Dzieło p. de Raynal dla nas szczególny ma powab z pewnem atoli zastrzeżeniem: autor dopuszcza się pewnego lekceważenia związku, który bądźco bądź był równym, skoro Marya była cór-

ką królewską, szlachcie zaś polskiej, wśród której każdy był elektorem, a mógł być i elektem, przysługiwała oddawna pewna tradycyjna równość urodzenia, utrwalająca się podziśdzien małżeństwami z księżniczkami krwi, żeby tylko wspomnieć Grudzińskich, Gurowskich, Wielopolskich, Zamoyskich itd. U Radziwiłłów zaś i Czartoryskich związki z domami panującymi pozostały dotąd na porządku dziennym. Gdy zaś przed pół wiekiem z górą, stary cesarz Wilhelm, wówczas młody książę pruski, zakochał się w swej kuzynce, Elizie Radziwiłównie, kommissya z prawników i historyków złożona, zbadawszy dwustronne genalogiczne wywody zakonkludowała, iż pomiędzy królewiczem a jego ukochaną zachodzi zupełna równość urodzenia i tylko polityczne względy przeszkodziły zawarciu serdecznych węzłów, którym ani duma rodowa, ani dworska etykieta nie stawiała zapory. Zawiele tedy nacisku kładzie autor na niebywały jakoby zaszczyt, spływający na polską dziewicę.

W tak sumiennej i starannej pracy razi utarta we Francji wadliwa ortografia nazwiska królowej. Zwiątpić już chyba potrzeba o zdolności Francuzów do przyswajania sobie obcych imion, gdy np. świeżo dwie poważne publikacje dotyczące małżonki Ludwika XV, acz ze społecznych zaczerpnięte źródła, przekręcają rodowe Leszczyńskich miano. Pan de Raynal swą bohaterkę zwie stale *Lezczinską*, wydawca listów królowej Maryi dodał samowolnie jedną literę więcej, pisząc *Lezczinska*. W ogóle polskie nazwiska nie mają szczęścia pod piórem pana de Raynal. Jeden tylko Tarło ocalał i we właściwej pisowni występuje. Marszałek dworu króla wygnańca nazywany jest *Monsieur de Mezelek* (sic). Wielkim ochmistrem czy podkomorzym ma być hrabia *Berechini* itp., co tem bardziej razi, iż rzecz sama z pracownią wiernością obrębiona, nawet od tych szczegółowych usterek powinna być wolną. Nie przeszkadza to bynajmniej, iż nowa książka o Maryi Leszczyńskiej cennym jest nabytkiem, nam zaś miłym holdem złożonym pamięci naszej rodaczki, wynagrodzeniem za ciche, ciężkie, upokorzone i ukrzyżowane życie, tej którą potomność dziś darzy uznaniem, szacunkiem, bodaj czią, występującą tak w historycznych badaniach, jak i w opowiadaniach powieściowych.

M.

## FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

U państwa Fiszbaumów wieczór ten skończył się również rozdzwiekiem, bardzo przykrym i niespodziewanym. Zaraz po obiedzie papa Fiszbaum, wbrew swojemu zwyczajowi, podał rękę żonie i, zamiast udać się na drzemkę do swego gabinetu, odprowadził ją do jej budoaru na pierwszym piętrze; usta miał wydeptane bardziej, niż kiedykolwiek, czoło pamaraszczone, brwi podniesione w górę ponad pospolitą normę; roztargniony był i małomówny przy stole, palcami bębnił po brzuchu i wdychał, co u niego równie dobrze mogło znamionować dolegliwości moralnej, jak fizycznej natury.

— Moja Ludwiko — rzekł do córki, która podszła, by go w rękę pocałować po skończonym obiedzie — zostań w swoim pokoju, będziemy cię może z matką potrzebowali.

Dziewczynę uderzył niezwykle uroczysty ton głosu i wyraz twarzy ojcowskiej.

— Dobrze, papo — odpowiedziała, nie przeczuwając, jak ważną ma usłyszeć wiadomość dla siebie i jakiego dowodu siły i energii los zażąda od niej za jakie pół godziny.

Niedłuzej bowiem trwała małżeńska narada przy drzwiach zamkniętych i spuszczonej kotarach w budoarze pani Fiszbaumowej.

Lokaj przyszedł prosić „panienkę“ do jaśnie państwa, w chwili, gdy najspokojniej przerzucała illustrowane pisma angielskie i niemieckie, przyniesione świeżo z księgarni.

Przy wejściu do budoaru matki zastała ojca chodzącego z jednego kąta w drugi, z rękoma w kieszeniach, z miną człowieka, który się przygotowuje do spełnienia bardzo poważnej misji.

— Proszę cię, zamknij drzwi — odezwał się papa Fiszbaum — i usiądź przy nas.

Zajął miejsce na fotelu obok pluszowego szesłagu, na którym leżała zimna, jak zwykle, obojętna i apatyczna bankierowa.

— Moja Róziu, ty jej powiedz o co chodzi — zwrócił się do żony.

— Lepiej, ty jej oznajmij wprost, ja z nią pomówię potem — wymówiła się pani Rozalia, zakrywając batystową chusteczką spazmatyczne ziewanie, które było u niej zewnętrzną oznaką nerwowego podrażnienia.

Papa Fiszbaum podrzucił kilka razy lewem ramieniem, potem prawem, skrzywił się, obie ręce włożył w kieszeń, nogi wyciągnął przed siebie i widocznie niezadowolony z tego ustępstwa, zaczął w ten sposób:

— Proszę cię, moja Ludwiko, chcę z tobą pomówić, jak z panną zupełnie dorosłą. Może cię do trochę zadziwi i zawstydzi, co usłyszysz, ale to nic; odpowiesz nam: jak będziesz chciała i mogła.

— O cóż to chodzi, papo?

— Ja ci to krótko i węzłowato przedstawię. Proszę cię, cobyś ty powiedziała — mówił dalej tonem profesora, zadającego uczennicy pytania przy egzaminie — gdyby pan Władysław chciał się starać o twoją rękę?..

— Który pan Władysław?

— Jaki to który?... kiedy mowa o staraniu się, to tylko jeden pan Władysław może być rozumianym: pan Haseman-Zajęcki.

Odrzucił głowę w tył, oczy przymrużył i czekał jakie wrażenie robi ta wiadomość na córce.

Ludwika milczała.

— No, dlaczego nic nie odpowiadasz?... Róziu, spytaj jej: dlaczego nic nie mówi? — zaczął znowu po chwili. — Pan Zajęcki prawie oświadczył mi się o ciebie w powozie, gdyśmy wracali z Brylantówki. Proszę cię, cóż ty na to?

— Nic; — brzmiała krótka, spokojna, ale stanowcza odpowiedź dziewczyny.

— Jaki to nic?... nie można nic, trzeba coś odpowiedzieć. Czy ci się pan Władysław nie podoba?... — indagował dalej, badając ją wylupiastymi oczyma.

— Nie podoba mi się — odrzekła córka tym samym spokojnym i stanowczym tonem.

— Dlaczego miałby ci się nie podobać?

— Bo śmieszny.

— Moja kochana, śmieszny, nieśmieszny, ale na męża bardzo dobry. Et! Ty się jeszcze nie znasz na tem!..

Pani Rozalia ziewała coraz częściej, leżąc z zamkniętymi oczyma, jakgdyby nie słyszała całej rozmowy.

— Przecież tu nie chodzi o to, abyś dziś, albo jutro poszła za niego za męża — mówił dalej ojciec — on tylko chce mieć nadzieję, że wyjdiesz za niego...

— Ani dziś, ani jutro, papo, ani nigdy — wtrąciła powoli, akcentując wyrazy, Ludwika.

— Proszę cię, namyśl się lepiej. To pensyonarski upór z ciebie gada — przerwał jej z pewnym rozdrażnieniem Fiszbaum, a zwracając się do żony, dodał:

— Ona jeszcze za młoda na to, nie nie rozumie... Trzeba ci wiedzieć, że Zajęcki to jedna z lepszych partyi w dzisiejszych czasach.

— Może.

— Nie może, tylko tak jest; a za dwa, trzy lata będzie milionerem.

— Może.

— Żadna z twoich siostr takiej partyi nie miała; rozumie się pod względem finansowym — poprawił się, z obowiązku teścia.

Panna Ludwika lekko ramionami wzruszyła i uśmiechnęła się lekceważąco.

— Ty się nie śmiejesz, bo to grunt w małżeństwie! Te wszystkie poezye o miłości, o kochaniu o... o... o romansach, to dobre w operze, przy muzyce Meyerbeera, albo Gounod'a, ale w życiu trzeba być praktycznym.

Zdawało mu się, że powiedział coś bardzo rozumnego i głębokiego, bo aż policzki wydał i głowę podniósł do góry, mierząc córkę spojrzeniem przez długą chwilę.

— Muszę ci dodać — mówił dalej — że ja i matka nic nie mamy przeciw waszemu małżeństwu. Prawda, Róziu?... pan Władysław jest porządnym, solidnym, młodym człowiekiem, jest dobrą partyą... jednak! namyśl się, moja Ludwiko, nie można go odrzucać tak odrazu.

— Już się oddawna namyśliłam — przerwała mu zawsze tumsamym, spokojnym, lodowato zimnym tonem. — Nie wyjdę za męża za niego, bo go nie kocham i nie pokocham nigdy w życiu.

— Zkąd ty możesz wiedzieć o tem?

— Wiem, ponieważ... kocham kogo innego.

Papa Fiszbaum z miejsca podskoczył.

— Co?... co ty mówisz?

— Mówię, że kocham kogo innego — powtórzyła Ludwika z mocą, nie zmieniając pozycyi. Usta jej tylko lekko zadrażyły i zbladła cokolwiek.

Natomiast Fiszbaum poczerwieniał cały, jak piwonია.

— Proszę cię, nie żartuj; nie zapominaj, że rozmawiasz z rodzicami.

— Ja nie żartuję, papo, mówię prawdę, ponieważ o to pytasz.

— To głupia prawda! — wyrwał się bankier, który nie mógł dłużej zapanować nad sobą.

— Być może, papo, ale niemniej prawda.

Fiszbaum usta szeroko otworzył; uwierzyć nie mógł własnym uszom, że w ten sposób przemawia do niego jego najmłodsza córka, którą uważał dotąd za dziecko, za pensyonarkę. Zdziwiła go, przestraszyła niemal ta zrezygowana, spokojna stanowczość w jej głosie i w całym zachowaniu się Ludwiki.

— Roza, czy ty słyszysz, co ta mała wygaduje? — zwrócił się do żony — ona jest zakochana.

— Dzieciństwo — szepnęła pani Rozalia, dając ręką znak córce, aby się do niej zbliżyła i usiadła bliżej.

— W kimże-to Ludka jest zakochana? — spytała spokojnie, z uśmiechem piastunki, spoglądającej na dziecko w kolyse.

— Czy to koniecznie odpowiedzieć zaraz? — rzekła Ludwika.

— A zaraz, zaraz — poderwał szybko ojciec — z taką niespodzianką nie trzeba zwlekać długo.

Zawahała się, zacięła usta i mimowoli oczy spuściła ku ziemi.

— Sądziłam, że się mama i papa sami domyślą — rzekła po chwili.

Fiszbaumowi krew powtórnie uderzyła do głowy, spojrzął znowu pytająco na żonę i dał jej znak oczyma, jakgdyby chciał powiedzieć: „A widzisz!..”

— Myśmy się niczego nie domyślali — rzekł, udając obojętność — kogożeś to sobie wybrała tak prędko?

— *Alors, Louise?* — wtrąciła matka, podnosząc się ze szesłaga — odpowiedz moja droga śmiało i otwarcie.

Dziewczynna milczała; przez zaciśnięte usta nie mogło jej przecisnąć się nazwisko człowieka, którego nosiła w sercu.

Ojciec patrzył na nią wzrokiem sędziego śledczego, matka badała ją omdlewającym swem spojrzeniem. Nastąpiła chwila przerwy, długiej, przykrej, groźnej, jak przed burzą.

— No, to ja tobie powiem! — wybuchnął, zrywając się z krzesła stary Fiszbaum — ty myślisz, że twój ojciec taki w ciemnię bity, aby się nie poznał odrazu, kto ci głowę zawrócił?... mylisz się, ja wiem dobrze, że to ten Lacki! Ale z tego nic nie będzie. Ja już mam dosyć tych hołyszów. Wybijesz go sobie z głowy; już ja ci wyperswaduję tę miłość bez sensu.

Zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju

w wielkiej emocji i rozpinać bez ceremonii kamizelkę, bo duszno mu się zrobiło; podszedł do kominka, na którym stał syfon wody sodowej, nalał sobie pół szklanki, przy czem obryzgał cały dywan; odwilżył gardło i znowu okrążyć zaczął córkę, jak jastrząb, przystając z różnych stron przy niej i mówiąc w wielkim ferworze:

— Niech ci się nie zdaje, że papa taki ślepy. Ja widziałem dobrze, jakieś przy nim skakała w Brylantówce; dlatego ci nie smakuje Zajęcki. Ty myślisz, że ja kiedy pozwolę na wasz związek, myślisz się grubo. Lacki jest bankrut; on cały z kośćmi nie jest wart tyle, ile jego długi wynoszą. Ty chcesz, żebym ja to wszystko popłacił?... jeszcze czego!... Całe życie będę pracował na zięciów?... już mam dość dwóch takich, którzy mnie szarpnęli z obu boków.

Zwrócił się do żony z wyrzutem:

— Ja ci mówiłem, żebyś na nią uważała, bo to szalona głowa!... masz teraz.

Poszedł znowu po syfon do kominka i znowu w roztargnieniu, zamiast do szklanki, wylał wodę na srebrną tackę. Ręce mu się trzęsły z gniewu.

— Czy papa ma co panu Lackiemu do zarzucenia? — spytała Ludwika, przechodząc ku oknu z oczyma leż pełnemi, których nie chciała pokazać rodzicom.

— Mam.

— Cóż takiego?

— Bankrut.

— To nie ubliża człowiekowi.

— Głupiaś!...

Dziewczyna spojrziała na ojca, jak na obcego człowieka, który jej ubliżył. Pierwszy raz w życiu usłyszała ten wyraz z czyichkolwiek ust, zastosowany do niej w sposób tak szorstki.

— Oświadczam ci raz na zawsze — mówił podniesionym głosem — żebyś sobie Lackiego z głowy wybiła i zapomniała o nim. Już ja mu przy sposobności dam do poznania, żeby sobie apetytu na ciebie i twój posag nie robił.

— Papo!

— Tak jest, to żaden mąż dla ciebie. Niech ci napróżno głowy nie zawraca. Skończę ja te wasze gawędy na cztery oczy, poczekaj... Jak będzie trzeba, drzwi mu zamknę przed nosem.

— Poczucieście go przyjmowali dotychczas?

— Nie po to, abyś ty się w nim zakochała!

Ton rozmowy zaczął się zaostrzać. Pani Rozalia wydobyła rznięty kryształowy flakonik z solami, reflektując co chwila córkę, lub męża wzrokiem i od czasu do czasu z akcentem zgorznienia wtrącając do dyalogu napomnienie:

— Louise! Louise!

— Pójdiesz za mąż za tego, którego ja ci wybiore: rozumiesz?! — krzyczał prawie Fiszbaum.

— Pójdę za Lackiego, papo.

— Nigdy.

— Pójdę za niego, lub za nikogo.

— Zobaczymy.

— Moje siostry...

— Twoje siostry co innego. Twoje siostry głupstwo zrobiły: to nie powód, ażebyś ty je naśladowała. Wydziedziczę cię — rozumiesz?... wydziedziczę, jeśli będziesz uparta. Toby mi się podobalo, ażebyś mi ty jeszcze na nosie grała!

— Ja kocham pana Romualda.

Fiszbaum nogą aż tupnął.

— Ani mi się waży powtarzać więcej tego!...

— Tak?... tak?... więc papa chce mojej śmierci?!

Zwróciła się do niego, blada, z oczyma dziwnie powiększonymi, usta jej drgały, nozdrza rozdymały przyspieszony, gwałtowny oddech, paluszki kurczowo załamane trzeszczały w stawach; stała naprzeciw ojca zrozpaczona, zrezygnowana na wszystko, zbuntowana przeciw władzy rodzicielskiej, przeciw całemu światu, gotowa głośno z otwartego okna krzyczeć na całe gardło: „Kocham pana Romualda”.

Fiszbaum aż posiniał ze złości, a ochryplym głosem szeptał:

— Możesz sobie umierać: ja cię potem wskrzeszę, ale za Lackiego nie pójdiesz, póki ja żyję.

Chciała Ludwika coś odpowiedzieć, ale jej tchu zabrakło w piersiach, zachwiała się, drżąc zaczęła na całym cielem i padła bez zmysłów na posadzkę z loskotem, u nóg przerażonego ojca.

— Różal!... patrz, co ona za awantury wyprawia; ona teraz mdleje!... widział to kto?... Ludwika, co ty robisz najlepszego?!...

W jednej chwili opuściła go cała passya.

— No, czy to nie czysta waryatka! — powtarzał płaczliwym głosem, pochylony nad ciałem córki, wstrząsanej konwulsyjnym dreszczem i trupio bladej. — Różal!... soli, wody!... bój się Boga, prędzej, bo ona tu gotowa skonać. Zadzwoń, albo nie... daj pokój, niech wpierw przyjdzie do siebie. Zkąd ona ma takie ataki!... dawniej tego nie było... Ludwika!... Ludwika, moja droga, wróć do przytomności.

Drżącymi rękoma zaczął córkę rozpinać i cucić, jęcząc żałośnie i wyrzekając głosem Lira nad zwłokami Kordelii.

Pani Rozalia automatycznie robiła wszystko, co należało; nerwowe wstrząśnienie dodało jej sztucznej energii. Na twarzy miała pozorny spokój posagu, tylko nabrzmiałe powieki i drgające co chwila świadczyły o głębokim rozdrażnieniu.

Ludwika długo pozostawała w stanie omdlenia; po każdym pryśnięciu wodą gwałtowne dreszcze wstrząsały nią całą, zęby dygotały febrycznie i zaciskały się, jak kleszcze, chwilami zgrzytając nieprzyjemnie; białka oczu wyzierały spod przykniętych powiek, a z piersi wychodziło jakieś dziwne rżenie, zamiast oddechu.

Nerwowy atak wreszcie przechodzić zaczął, westchnęła ciężko, boleśnie, jakby w niej wszystkie struny życia dzwignęły odstrojone odrazu; otworzyła oczy zamglone, spojrziała błędnym wzrokiem po rodzicach i nagle, wybuchając spazmatycznym płaczem, ukryła twarz łzami zalaną na piersi matki, klęcząc przy niej.

W tych łzach obfitych spłynęła reszta żalu, ale i sił; wyczerpaną, osłabioną, musiał ojciec przemieścić z dywanu na szeslong.

Wieczoru tego dwie pacjentki miał Dr Gruszkiewicz, domowy lekarz Fiszbaumów: matkę i córkę, którym zalecał przedewszystkiem spokój i kilkodniowe pozostanie w łóżku.

Papa Fiszbaum spędził noc ciężką bezsennie, w swoim gabinecie; zażywał krople, które mu konsyliarz przypisał, przeglądał projekt eksploatacji wielkich kopalni krymskich, czytał listy swego agenta o tem przedsiębiorstwie z hr. Andrzejem Potorskim na czele, a co pół godziny zachodził do sypialni żony i córki, pytając, z troskliwością, bardziej niecierpliwą, niż czuł:

— No, Ludwika, jakże tobie?...

A do żony się przysiadając, kiwał głową i mówił:

— Pójdiesz znów do Kaltenleutgeben na przyspyły rok, to ci będzie lepiej... Ona te nerwy to ma od ciebie.

Sam się czuł przybitym i zgnębionym sceną familijną, która mu odsłoniła rzeczywistą prawdę i dała poznać usposobienie i charakter najmłodszej córki.

— Z nią niema żartów — powtarzał sobie w myślach — to dyabeł, nie dziewczyna. Żeby jeszcze ten Lacki był dobrze ze swoim wujem, możnaby przez niego wejść w stosunki, a tak, ani z pierza, ani z mięsa; tyle, że się dobrze nazywa, no, i porządny człowiek. Ajaj!... jak mnie głowa boli od tego wszystkiego. To także los: mieć aż trzy córki, a ani jednego syna...

Skrzyżował ręce na piersiach; usiadł przy swoim biurku i, wpatrzywszy się w lampę przyćmioną zielonym abażurem z wyciskanymi smokami i gryfami, myślał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Lipca 1887 r.

Zawierucha Roulangerowska — Wyjazd tego generała do Clermontu. — Demonstracja Ligi Patryotycznej. — Sceny na dworcu kolei żelaznej. — Wykradzenie. — Zaprzafcy polityczni. — Oportuniści. — Przemówienie ministra Spullera. — D. 14 Lipca święto narodowe i rewia — Rozdanie legii honorowej. — Kawalerowie kobiety. — Inżynierowa i Siostra Miłosierdzia. — Śmierć p. Caro. — Kilka słów wspomnienia. — Wyrok śmierci na Pranziniego i dziwny skutek tej sprawy. — Skandale dziennikarskie, społeczne i literackie. — Rewolucja „Figaro”. — P. Séglière w domu obłąkanych. — Zola i jego nowa powieść „Ziemia.”

Rozpoczęliśmy Lipiec jedną z tych paryżkich zawieruch, których tradycja zdawała się być zatrąconą na naszym bruku, od śmierci Gambety. Wiecie już że z upadkiem szaraczkowego ministerium Gobleta musiał ustąpić i minister wojny Boulanger. Zasłużona, czy nie zasłużona, popularność tego generała była solą w oku dla wielu ludzi tu i owdzie — a między innymi i dla Bismarcka — jak widzieliśmy z jego oficjalnych i nieoficjalnych dzienników. A że popularność wojskowa zastrasza w rzeczypospolitej fraczkowych ludzi — znalazła się ich tu dosyć spora gromada, aby Boulanger usunąć ze sceny.

Przyjaciele i zwolennicy generała pomogli wiele ku temu nieumiarkowaniem i zbyt gwałtownym występowaniem z owacyami. Ale jak wiecie — ta popularność — była taką zawsze, od czasów najdawniejszych. Wszak ze szkół jeszcze nie zapomnieliście owych historii o Arystydesie, który ją utracił przez zbytnią poczciwość, i o Alcybiadesie, który ją zyskał, uciawszy psu swemu ogon. Nie trzeba się więc dziwić, że nasz generał, raz pochwycony w ręce ubóstwiającej go rzeszy — nie miał i nie mógł mieć żadnego nad nią kierunku i, jak balon w powietrzu, musiał iść w stronę, z której wiatry wiały.

Śmieszne się wam wydają te sławne pieśni: „Boulangel ange, ange, ange! C'est Boulangel qu'il nous faut“ i t. d., ale kiedy to ryknie tłum z pięciu lub dziesięciu tysięcy ludzi złożony — z ludzi w pół pijanych, w pół oszalałych z exaltacji — robi to pewnego rodzaju wrażenie — tej burzy, co wśród dnia białego zakryje horyzont i zawieruszy światem. Mimo przekonania, że to są istoty bezbronie, trudno jest zapanować nad strachem, który przejmuje szczególnie ludzi, trzymających, jak tu powiadają — rączkę od tej patelni, która się „rządem“ nazywa. Łatwo tu stracić głowę, omylić się co do środków i celu, i sprowadzić katalizm tak zapalnych żywiołów, jak motłoch paryżki. Cóż dopiero mówić o tym, kto jest sam bez siły i czuje się pochwyconym w taki wir szalony!

Generał Boulanger po złożeniu swej ministerialnej teki otrzymał komendę 13-go korpusu z rezydencją w mieście Clermont-Ferrand. W dzień jego wyjazdu z Paryża Liga Patryotyczna, pod przewodztwem sławnego Déroulede'a i spółki — wszystko złote serca, ale postrzelone głowy!... postanowił wyprawić mu jedną z tych owacy, które za czasów przeszłych tyranów, tak łatwo przemieniały się w rewolucyjną uliczną, i kończyły się wywróceniem istniejącego rządu. Czy liga myślała o czemś podobnym? trudno powiedzieć — ale rząd, to jest ministerium — bardzo się zajmowało tym fantem. Postanowiono w końcu nie opierać się wcale demonstracji, odsuwając ją tylko jaknajdalej od środka miasta; otwarto więc swobodne ujście ku dworcowi kolei Paryżko-Marsylskiej, zkąd miał wyruszyć pociąg, udający się wraz z jenerałem do Clermont-Ferrand.

Następstwa usprawiedliwiły w zupełności ten plan strategiczny; Liga i jej akolici zajęli całą przetrzeź od hotelu Luwru, gdzie mieszkał Boulanger, aż do dworca kolei Paryż-Lugdun-Morze Śródziemne, to jest przetrzeź ulicy Rivoli, Plac Bastylli, Ulicę Lugduńską i już wspomniany dworzec, gdzie do przybycia jenerała, cały główny sztab ligi, z jakim tysiącem najtęższych głów stowarzyszenia, rozlokował się przemocą, jak we własnym domu.

Od wyjazdu z hotelu aż do dworca skromny fiakr „quod Caesarem vehit,” toczył się wśród przesławnej melodi „Boulangel ange! ange! ange!—i Il revieindra!” Do zajętego — jak mówiliśmy — dworca, nie wszedł generał, ale go wniesiono! I tu dopiero rozpoczęły się sceny, których opisać żadne pióro nie zdoła. Kto nie widział takich scen w Paryżu, temu daremnie byłoby je opisywać! Co może dokonać kilka tysięcy zebranych ludzi na tym bruku — wśród których połowa przynajmniej jest nieponiów i szlifbruków, najbrudniejszej wody — tego zaprawdę — oko ludzkie nie widziało, ucho ludzkie nie słyszało.

Liga i jej sztab — jak zwykle bywa w podobnych razach — zniknęli w tej powodzi ludzkiej, a z niemi w ostatnim serdecznym uścisku, zniknęły portefeulle i portemonetka generała, i ta oszalała tłuszcza, zostawiona sama sobie i swoim instynktom, zawaliwszy pociąg, tor kolejowy i wnętrze dworca, postanowiła niewypuścić generała z Paryża. Dodajmy do tego, że wśród tego tłumu najważniejszą w tej chwili odgrywali rolę *agents provocateurs* trzech czy czterech gatunków, między którymi najczynniejsi byli agenci sekretnej policji... a czyje? Ławo się domyślić!

Nakoniec, po dwu godzinach tego szamotania się, urzędnicy kolei żelaznej, aby skończyć te sceny i oswobodzić trzymane w blokadzie pociągi pasażerów, potrafil ukradkiem uprowadzić generała z jego adiutantem i wsadziwszy ich na lokomotywę sprowadzoną umyślnie bez pociągu i wozów pasażerskich — uprowadzili do Charenton, pierwszej stacji za murami Paryża.

Kto tu winien w tej sprawie? Oile odpowiedzialność generała Boulanger'a osobista może być powołana? Trudno jest powiedzieć, — to pewna tylko, że ta zawierucha okryła go śmiesznością — co tu wiele znaczy; a przytem wskazała pewne strony ujemne człowieka, który, jako wojskowy wyższego stopnia, jako minister, i jako szczerzy republikanin, zezwolił na to, aby skompromittowano w ten sposób, i jego mundur, i jego osobę wobec rządu, którego przed chwilą jeszcze był jednym z wybitniejszych członków.

I stała się rzecz dziwna. Ciężsami ludzie, którzy go z takim hałasem wynosili pod niebiosa, po skończonej komedii usunęli się na stronę i zostawili go samotnego i bezbronnego na pastwę oportunistów, którzy go postanowili zgubić! Nie pierwszy to raz, niestety! widzimy podobne zwroty w rzeczach państwowych. Dowodzi to tylko, że cały ten akt odegrał się według dawno i mądrze osnutego planu, którego celem było wypchnięcie generała z pozycji, jaką zajmował dotąd.

Zaraz po tych ulicznych scenach p. Spuller, dzisiejszy minister oświecenia a dawniejszy klient i koryfeusz Gambetty — prezydując przy rozdawaniu nagród w Stowarzyszeniu Filotechnicznym, między innymi w te się odezwał słowa, kończąc swoją przemowę:

„Młodzieży... nie bylibyście godni ojców waszych — tych, za których sprawą stał się rok 1789 i 1848: nie bylibyście godni zostawić republikańską potomność po was, gdybyście byli gotowi rzucić się w błoto pod koła tego wozu, na którymby zasiadło jakieś bożyszcze, jakiś tryumfator chwilowy — wówczas, kiedy to Francja, sama tylko Francja ojczyzna wasza, powinna być przytomną oczom waszym, na tym wozie, obleczone w sławny sztandar cywilizacji, trzymając w ręku chorągiew sprawiedliwości i postępu ludzkości. Obywatele! wy, którzy mnie słuchacie — wszystko dla Francji, a nie dla jednego człowieka!”

Zapewne — można temu przyklasnąć, chociaż to są frazesy tylko. Niezapominając o tem, że ten sam Spuller kładł się na błocie, rzucił się pod koła wozu, gdy na nim stało owo bożyszcze, któremu na imię było Gambetta.

Pomimo tej zawieruchy i tak chmurnego nieba, święto narodowe i sławna dorożna rewia wojska w ten dzień — odbyły się spokojnie, a nawet świetniej, niż w przeszłych latach. Trzeba oddać sprawiedliwość, że te kilkanaście tysięcy ludzi, zebranych na Polach Bulońskiego Lasku przedstawiało się i maszerowało nie tylko w porządku, ale nawet z pewnym animuszem francuzkiego żołnierza z najlepszych czasów.

Wiemy z pewnością, że wojsko to, które pa-

radowało 14 Lipca, nie jest wcale wyborem, przygotowanym na ten dzień jedynie. Tembardziej uderza to wszystkich, bo dowodzi, że, pomimo pesymistycznego zapatrywania się wielu — pracowano przecież na tej drodze, a otrzymane rezultaty wróżą najlepsze nadzieje; artylerya szczególnie, zwróciła na siebie uwagę wszystkich. To też trzeba było wiedzieć, jak ta żołnierska żyłka odezwała się wśród tego ludu; a choć po owych scenach na dworcu kolejowym wielu było usposobionych wrogo do rządu, chociaż przygotowywano i podszezuwano do pewnych nieprzyjaznych demonstracji przeciw Grévy'emu i ministrom: wszystko się skończyło dość spokojnie i dobrze.

Prawda, że ministeryum urządziło się tak zręcznie, iż uniknęło wszelkiego starcia z anarchistami; zmieniając kierunek pochodu urzędowego umiano tak pomieszać szyki nieprzyjaciół opatrzonych w klucze do świstania (specjalny *article de Paris*), iż ci, straciwszy zupełnie swoje pierwotną furją, zagłuszeni zostali przez urzędowych krzykaczy. Powiadają, że Grévy, po powrocie do domu zacieraając ręce, wołał do swego zięcia Wilsona — „nasza wygrana”. Przypomina mi to, chłopaka, za owych czasów, kiedy to jeszcze u nas bito chłop'a w skórę. Matka posłała go do dworu, dowiedzieć się: na czem skończy się sprawa, z powodu której powołano tam ojca? Po chwili wraca chłopak zaperzony. — A co? — woła matkę zdala — Wygrał tatko — odpowiada chłopak — dadzą mu w skórę i zaraz wróci do domu.

Ale żart na stronę: wszystko się powiodło i zabawy ludu, bez wielkich i krzykliwych zwykłych manifestacji. Szczegół do zapisania: ani słychać było tą razą sławnego ryku Marsylianki. Illuminacje były świetniejsze i bardziej artystyczne — a fajerwerki przeszły swą wspaniałością wszelkie dawne tradycje: prawdziwe góry ogniem buchające.

Czy można to uważać za znak prawdziwej zdrowotności rzeczypospolitej? Nie trzeba się spieszyć; rzecz jest pewna jednak, że gdyby Rząd Republikański raz jeden pokazał swą silnie rządzącą rękę, gdyby oddał spokój i sprawiedliwość całemu, rzecz pewna, powiadam, że toby ustaliło i wzmocniło ten grunt, który się nam ciągle spod nóg usuwa.

(Dokończenie nastąpi).

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Trzeciwy pogląd na naukę o oceanach. — Udoskonalenie telefonu. — Zmodyfikowany mikrofon do poszukiwań wody zaskórnej. — Przyrząd stwierdzający rotacyjny ruch ziemi. — Nowy odczynnik do odróżnienia w tkankach włókien roślinnych od zwierzęcych. — Przyczyna fosforescencji morza (*Bacillus phosphorescens*).

Od najdawniejszych czasów oceany i morza były przedmiotem badań naukowych. Teorie Starożytnych owiele różniły się od dzisiejszych racjonalnych poglądów. Arystoteles zajmował się badaniem morza; przypisuje on słony smak wody morskiej wpływowi słońca i utrzymuje, że powierzchniowe warstwy są cieplejszemi i bardziej słonemi, aniżeli głębokie. Pliniusz, Herodot, Plutarch i inni — pisali o przypliwie i odpływie morza a także o głębokości i t. p.

Przez całe wieki nauka o morzu nie przekroczyła tych elementarnych wiadomości. Dopiero przy końcu Wieków Średnich widzimy pewne postępy w tym kierunku, właściwie zaś na dobre rozpoczęły się badania z chwilą udoskonalenia narzędzi fizycznych, a głównie wynalezienia żeglugi parowej. Skutkiem tego postępu zdołano wyrobić sobie właściwy sąd o tych nadzwyczaj ciekawych zjawiskach przyrody morskiej. Nowa ta epoka studyów rozpoczyna się, dzięki podróżom i odkryciom amerykańskiego oficera marynarki Jana Maury, zmarłego w roku 1874. Skutkiem tych

było zapoznanie się z fauną i florą morską. Wszystkie państwa nadmorskie wysyłały ekspedycje naukowe na rozliczne wody, z których najważniejsze odbyły się między rokiem 1874 i 1876 na angielskiej korwecie „Challenger,” niemieckiej „Gazella” i amerykańskiej „Tascarora.”

Prócz geograficznych i hydrograficznych odkryć zajęto się bliżej badaniem mórz pod względem fizycznym, chemicznym i geologicznym. Ze wszystkich oceanów najdokładniej zbadano atlantycki.

Wykazano, że największe głębie w oceanach znajdują się, nie w ich środkowych punktach, lecz przeciwnie, przy brzegach lądów.

Największą głębokość, wynoszącą 8.513 metrów znaleziono na Oceanie Spokojnym w bliskości kontynentu azjatyckiego. W Oceanie Atlantyckim największą głębina, jaką zdołano wymierzyć, wynosiła 8.341 metrów, a na Indyjskim metrów 5.523.

Własności gruntu morskiego przedstawiają nie tylko wielką doniosłość dla studyów geologicznych, ale mają niesłychaną ważność praktyczną dla żeglugi. Zapomocą odpowiednich sieci dobywano grunt z rozmaitych głębokości i poddawano go badaniom chemicznym. W ten sposób zdołano przekonać się, że składa się on z pięciu różnego gatunku warstw.

Temperatura wody mogła być dopiero z chwilą wynalezienia termometru dokładnie zbadana, i to właściwie zapomocą tak nazwanych termometrów maksymalno-minimalnych. Z badania podobnymi termometrami okazało się, że, idąc od powierzchni do dna morskiego, temperatura stopniowo zniża się, i to w ten sposób, że z początku spadek temperatury wody jest bardzo znacznym a czem głębiej, tem wolniej następuje. Obniżenie to objaśnić się daje prądami płynącymi od biegunów do równika. Czem bliżej do morza północnego, tem temperatura wody jest niższą. Miejscowe warunki mają również niewątpliwy wpływ na ciepłość wody morskiej.

Dla chemicznych badań wody, mianowicie co do zawartości w niej soli, dobywa się ją stosownymi narzędziami z rozmaitych głębokości. Badania wykazały dotąd w niej 32 pierwiastki, po największej części w bardzo nieznacznych ilościach. Części mineralne, stanowiące wodę słoną, są przeważnie następujące: chlorek sodu (sól kuchenna), chlorek magnezu, siarczan magnezy i (sól gorzka), siarczan wapna (gips) i chlorek potasu.

Ciężar gatunkowy wody morskiej jest w ścisłym związku z ilością znajdującą się w niej soli. Oba te warunki zależnemi są w wysokim stopniu w rozmaitych morzach od parowania, marżnięcia powierzchni, osadzania się i dopływu słodkiej, rzecznej wody.

Na pełnym morzu ciężar gatunkowy wody wynosi 1,025 do 1,038, co odpowiada 3,376 do 3,764 procentów zawartości soli. Ta zawartość zachowuje się w następujący sposób: od powierzchni do 1500 lub 1,800 metrów głębokości stopniowo zmniejsza się, a poniżej aż do dna morskiego znowu stopniowo się zwiększa.

Dokonywano również badań nad powietrzem i kwasem węglanym, znajdującym się w wodzie morskiej; są to gazy niezbędne dla życia roślin i zwierząt. Powietrze pochłonięte przez wodę posiada odmienny skład od powietrza atmosferycznego. Ilość tlenu w niem zależną jest w wysokim stopniu od temperatury wody. W głębszych warstwach jest go coraz mniej.

Morza pokrywające trzy czwarte naszego planety, do ostatnich czasów, pod względem życia roślinnego i zwierzęcego w ich wodach bardzo mało były znanymi. Ogólnie mniemano, że w głębiach morskich, z powodu odmiennych warunków od tych, jakie mamy na powierzchni ziemi, a głównie z powodu nadzwyczajnego ciśnienia, wszelkie życie na dnie morskiem jest niemożliwym. Nawet ludzie naukowcy w większej części przechylali się do tej błędnej teorii.

Skutkiem badań poważnych przekonano się, że dno morskie nie jest pustynią. Jest ono zaludnione przez faunę daleko różnorodniejszą i liczniejszą, od tej, którą widzimy w rzekach. Organizmy są tam jeszcze daleko delikatniejszymi i piękniejszymi, skutkiem różnorodności barw

i precudownej fosforescencji, aniżeli te, jakie żyją na powierzchni ziemi. Jest-to niewyczerpany i nadzwyczaj ciekawy materiał do badań przyrodniczych.

Co do owego ciśnienia w głębiach morza, to jest ono rzeczywiście kolosalnym, lecz istoty żyjące tam znoszą je również łatwo, jak my na powierzchni ziemi znosimy ciśnienie atmosferyczne. Każdy z nas—jak wiadomo—dźwiga bez ustanku ciśnienie powietrza, równające się 15,000 kilogramów, nie czując go wcale, a to z powodu, że odbywa się ono ze wszystkich stron równocześnie i przenika wszystkie tkanki naszego organizmu. Istoty morskie, żyjące w najznaczniejszych głębokościach, są tak delikatnymi, że ująwszy w palce z łatwością można je rozgnieść, a mimo to, znoszą tak znaczne ciśnienie, z powodów wyższej przytoczonych. Temperatura wody nie spada nigdy niżej od + 3,5 i zwierzęta wszelkiego rodzaju znoszą ją doskonale.

Można zaobserwować pewien stosunek odwrotny między światem zwierzęcym i roślinnym na powierzchni ziemi a fauną i florą morską. Na ziemi, na wysokości powierzchni morza zarówno w strefach umiarkowanych, jak i gorących, spotykamy rozwój zwierząt i roślin w najwyższym i najpiękniejszym stopniu, w miarę wznoszenia się nad powierzchnią, t. j. na górach, warunki dla życia zwierzęcego i roślinnego przedstawiają się już mniej korzystnie. Tam, gatunki zamieszkujące płaszczyzny znikają i są zastąpione przez inne. W oceanach warstwy powierzchniowe są siedliskiem fauny i flory nadzwyczaj bogatej i różnorodnej; zstępując głębiej, spotykamy już warunki znacznie mniej przyjazne dla rozwoju życia organicznego, ciepło i światło—te dwa niezbędne czynniki życia, zmniejszają bowiem znaczenie swe natężenie.

Przekonano się, że roślinność w morzu rozwija się tylko do 200 metrów głębokości, tymczasem zwierzęta zamieszkują wszystkie warstwy a najliczniej żyją na powierzchni i na dnie morskim.

Nie podobna już dziś wątpić, że niedługo mieszkania nasze zaopatrzone będą, taksamo, jak w wodę i gaz—w telefony. Przyrząd ten udoskonala się bezustanku. Najnowsze doświadczenia robione z telefonami wydały zadziwiające rezultaty. Połączono Paryż z Bruksellą za pośrednictwem drutu brązowego, i dzięki temu nie tylko rozmawiać można było przy pomocy telefonu między temi dwoma miastami, ale nawet dźwięki muzyki doskonale mogły być słyszane, tak, że już dziś królowa belgijska słucha w swym pałacu gounodowskiego „Fausta“ wykonywanego w Wielkiej Operze paryskiej. Jeszcze donioślejszego znaczenia są doświadczenia w Ameryce przez Rysselberghe'a robione, z których wynika, że dla porozumiewania się przez telefon przestrzenie już nie istnieją.

Połączenie telefonów za pośrednictwem drutu miedzianego sprawia, że, nie zważając na odległość, dźwięki dochodzą znacznie wyraźniej, aniżeli to ma miejsce, na niewielkich przestrzeniach, przy połączeniu drutem żelaznym. Dla przekonania się: na jak wielkiej przestrzeni przy takim połączeniu można rozmawiać, przeprowadzono drut miedziany między New-Yorkiem a Chicago t. j. na przestrzeni 1.625 kilometrów. „Kiedy wszystko zostało przygotowane—pisze Rysselberghe—zbliżyłem się, z wielkim wzruszeniem do aparatu w New-Yorku i przyłożyłem mikrofon do ucha wołając: „Hola, Chicago!“ a po chwili usłyszałem głos inżyniera znajdującego się o 1625 kilometrów ode mnie. Mogłem, trzymając telefon w odległości czterech centymetrów od ucha, głos doskonale słyszeć. Ludzie, którzy przedtem nigdy zapomocą telefonu nie rozmawiali, porozumiewali się odrazu bez powtarzania wyrazów. Nawet kobieta z gminu, która nigdy przedtem telefonu nie widziała, rozmawiała z panią Steward i doskonale jej delikatny głos słyszała. Jednym słowem: mowa za pośrednictwem tego połączenia była tak wyraźna, jak to przy zwyczajnych aparatach, na krótkich dystansach, nigdy się nie zdarza. Siła głosu była tak wiel-

ka, że wszyscy obecni przy doświadczeniu utrzymywali, że nawet na przestrzeni trzy razy tak wielkiej byłby głos słyszany. Co do mnie, jestem przekonany, że zapomocą drutu miedzianego nawet na przestrzeni cztery razy tak wielkiej, można będzie dobrze słyszeć głos ludzki, a drutem odpowiedniej grubości można rozmawiać między Paryżem a Pekinem.“

Rzeczywiście należy oddać głęboki pokłon temu genialnemu wynalazkowi.

Mikrofon, stosownie zmodyfikowany, służyć może do wykrycia wody zaskórnej znajdującej się w głębokości dwóch metrów pod powierzchnią ziemi. Zbudowanym on został przez Seubela. Składa się z drewnianej skrzynki, około dwudziestu centymetrów długości i szerokości, która pod spodem jest otwartą, a górnej części zaopatrzoną w powierzchnię rezonansową drewnianą, na której znajduje się miedziany krążek z dziurkami dla pomieszczenia w nich sztabek grafitowych; te ostatnie dolnymi końcami stykają się płytą zwęgloną posiadającą odpowiednie zagłębienia, a umieszczoną na powierzchni rezonansowej, gdy w dziurkach krążka miedzianego mogą być swobodnie poruszane. Krążek miedziany połączony jest z baterią elektryczną, sztabki otacza drut „prymarny“ a „sekundarny“ łączący się z telefonem. Jeżeli taki aparat pomieścić na ziemi, w której głębi znajduje się woda, wtedy w telefonie słycać pewnego rodzaju charakterystyczny szum.

W roku zeszłym w miesiącu Lutym założone zostało w Paryżu, na wieży S-go Jakóba, laboratorium fizyczne, staraniem p. Jaubert, przy pomocy kilku jego przyjaciół.

Aby uświetnić rocznicę, nie tylko iluminacją i bankietem, jak to zazwyczaj się dziś praktykuje, postanowił młody uczyony francuzki powtórzyć w dniu tym doświadczenie sławnego fizyka Foucault'a, dokonane poraz pierwszy r. 1851 w Panteonie paryskim, stwierdzające ruch rotacyjny naszego globu.

Przyrząd do tego doświadczenia składa się z nitki stalowej o średnicy  $\frac{1}{10}$  milimetra utwierdzonej górnym końcem u sufitu zapomocą dwóch blaszek platynowych, u dołu zaś przytwierdzoną jest kula miedziana ważąca 29 kilogramów i zaopatrzona w cienutki rylec. W ten sposób urządzony wahadło wykonywało ruchy ponad stołem, na którym znajdował się arkusz papieru pokryty warstwą piasku. Kreślone linie skutkiem oscylacji wahadła co chwila się zmieniały, co nie miało by miejsca, gdyby ziemia nie wykonywała ruchu rotacyjnego.

D-rowi Molischowi udało się wynaleźć nowy odczynnik, służący do odróżnienia włókien roślinnych od zwierzęcych w tkaninach.

Znanych sposobów dotąd było kilkanaście; wszystkie jednakże, prócz badania mikroskopowego, były niedokładnymi.

Włókna roślinne składają się przeważnie z błonnika, celulozy, która należy do grupy węglowodanów, a która pod działaniem kwasu siarczanego zmienia się w cukier. Włókna zaś zwierzęce nie posiadają żadnych składników zbliżonych do wodorów węgla.

Otóż Dr. Molisch wykazał, że cukier, zarówno trzcinowy, jak i gronowy, mleczny i owocowy, przy traktowaniu ich  $\alpha$ -naftolem w obecności kwasu siarczanego przybiera ciemno-fioletowe zabarwienie. Jeżeli zamiast  $\alpha$ -naftolu użyjemy tymolu, otrzymamy zabarwienie czerwone.

Działa się w sposób następujący: do 0,01 grama dobrze wygotowanej próby tkaniny dodajemy jeden sześcienny centymetr wody, następnie dwie krople piętnasto- lub dwudziesto-procentowego roztworu  $\alpha$ -naftolu i na koniec kwasu siarczanego w nadmiarze, wtedy płyn, za wstrząśnięciem, jeżeli mamy do czynienia z włóknem roślinnym, przybierze kolor ciemno-fioletowy; je-

żeli zaś włókno jest zwierzęcem, to płyn przybiera barwę żółtawą, a później brunatno-czerwoną.

Co do jedwabiu, to ten podobnie się zachowuje, jak włókna zwierzęce.

Wyjaśnioną została przyczyna fosforescencji morza, którą dotąd uważano za zjawisko niewytłomaczone. Znane ono jest doskonale mieszańcom brzegów Morza Północnego i Oceanu Atlantycznego. Otóż pewnemu <sup>1)</sup> bakterjologowi udało się wykryć w morzu bacillus świecącego (bacillus phosphorescens), który właśnie jest powodem tego fenomenalnego zjawiska. Otrzymał on czyste hodowle tego żyjątka, które przeszczepione na nieżywe ryby sprawiały, że te w ciemności świeciły. Obecnie w berlińskim aquarium robione są codziennie doświadczenia z tym bacillumem.

Pod mikroskopem przedstawia on wiele podobieństwa do tak nazwanego „przecinkowego“, który według badań Kocha jest przyczyną cholery azyatyckiej i znajduje się w trzewiach i wydzielinach chorych dotkniętych tą chorobą.

Bacillus ten jest dla zdrowia ludzkiego zupełnie nieszkodliwym, żyje wyłącznie w wodzie słonej, procesy gnijące zabijają go; z największą łatwością rozwija się w wodzie, której temperatura wynosi + 20 do + 30 a przy + 40 ginie i traci własność fosforescencji. Tosamo dzieje się w wodzie słodkiej.

Dr. J. S.

## Kronika działalności kobiecej.

Od r. 1870 wystawy szkolne łączą się w Galicji z dorocznymi zjazdami Towarzystwa Pedagogicznego, obejmując i wystawy szkół żeńskich. Zeszłego roku taka wystawa ręcznych robót kobiecych i rysunków uczennic szkół lwowskich odbyła się we Lwowie; obecnie wydziałowa szkoła żeńska w Stanisławowie wystawę taką urządziła. Na dziesięciu stołach, ustawionych systematycznie według porządku klas szkolnych, rozłożone są okazy roboty uczennic, a przy każdym stole jest umieszczony wyciąg z planu nauki i robót ręcznych, na szkoły żeńskie przepisanej, co pozwala zwiedzającym przekonać się natychmiast o ile stosowano się do planu i jak z jego wskazówek skorzystano. Układ wystawy zaleca się wielką systematycznością, wykazującą postępowy rozwój pracy uczennic i prowadzenia nauki od jej początków.

Roboty drutowe i szydełkowe, szycie białe, ręczne i maszynowe, roboty krzyżykowe i strzyżone, dzierzganie, hafty białe i kolorowe pelą i jedwabiami, wyszywania kunsztowne na rozmaitego rodzaju materiałach, przedstawiają się bardzo efektownie i wdzięcznie dla oka, świadcząc o staranności nauczycielek i pilności uczennic. Do rzeczy bardzo pożytecznej w zakresie domowej pracy kobiecej zaliczyć należy naukę kroju, do której też szkoła, za wskazówką inspektora szkolnego Rożałowskiego, wielką wagę słusznie przykładła. Między zwiedzającymi wystawę, a nawet w prasie, dały się słyszeć głosy, że roboty wytworne, hafty, mniej są uczennicom potrzebne, jako zbyt trudne. Zarzuty te przecie są jednostronne: szkoła powinna uczyć wszystkiego, co w zakres danego przedmiotu wchodzi; przytem roboty zwane zbyt trudnymi stanowią mogą i niewątpliwie stanowią często zyskowną gałąź zarobkowej pracy kobiecej. Roboty praktycznego użytku w gospodarstwie domowym są niezaprzeczenie najpotrzebniejsze, i każda szkoła szczególnie naciskać na nie powinna, jako na rzecz

1) Zapewne „francuzkiemu“. Czerpiemy tę wiadomość z niemieckiego czasopisma „Humboldt“, które nie lubi francuzkich bakterjologów.

podstawową; ale i te inne działy robót wytwornych, zwłaszcza hafty białe, mają również swoje praktyczne stosowanie. We wszystkich wielkich miastach stanowią one mogą pracę na zbyt; istnieje naprzykład korzystna praca takiej gałęzi, polegająca na zaczynaniu i odrabianiu szczegółów żmudniejszych, w robotach wytwornych kolorowego haftu, które następnie pod nazwą: „zaczętych” są w sklepach sprzedawane amatorom dość zamożnym, aby się nimi zajmować mogły. Na nieszczęście „roboty zaczęte” przychodzą do nas przeważnie z zagranicy, to jest z Niemiec, wraz ze wzorami do nich — i byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla znacznej liczby kobiet, pracy zarobkowej potrzebujących, gdyby się to zmieniło — gdyby takie „zaczynanie” im się dostawać mogło. W Warszawie robi się już w tym kierunku pewny początek; wiemy, że to, co się w robotach tego rodzaju pędzlem i farbami na danym materiale wykonywa, powierza się malarzom naszym. Między innymi p. Bronisława Powsik maluje kwiaty, liście, ptaki i owady do skepów robót kobiecych.

Rysunki szkoły stanisławowskiej przedstawiają się bardzo dobrze, szczególnie ornamentacyjne. Wogóle nauczycielki tej szkoły: p. Diwer, Daudówna, Litwinowicz, Nemetz-Schiller, Szczepkowska, Walek okazują się jako pilne i starannie nauczycielskiemu swemu powołaniu poświęcone. Wzory robótbrane są główne z *Dodatku* naszego pisma; dobór kolorów przy haftach kolorowych jest zostawiony gustowi uczennicy, przy pewnych tylko wskazówkach nauczycielki, co bardzo dobrze świadczy o kierunku szkoły, która na inicjatywę, na samodzielne rozwijanie się uczennic uwagę zwraca i nie tłumaczy ich despotycznie.

Jedną rzecz tylko raz zwiędzających stanisławowską wystawę: oto napis niemiecki na jednej z robót krzyżowych. Czyby powtórzono go niewolniczo za obcym, wiedeńskim może, wzorem, zapominając, że można było litery nasze w miejsce germańskich podstawić? A może jest to robota uczennicy Niemki, wykonana z wola jej rodziny, bo inaczej szkoła zwróciłaby niezawodnie uwagę na moralny sens napisu: „Der Saft der Reben, macht Freudenleben.” Nie jest to w żadnym razie aforyzm edukacyjny, i szkoła wskazywać musi kształcącej się młodzieży, że radości życia z innych źródeł się czerpią.

— W Ameryce, w Bostonie zmarła Siostra Miłosierdzia rodem z Warszawy, Zofia Bordyowska. Trzydzieści cztery lat życia poświęciła ofiarnej służbie bliźniego i duch jej niech spotka Światłość Wiekuistą, a obca ziemia grobu, dalekiego od miejsc rodzinnych, niech lekką będzie jej prochom.

— Na dorocznym zebraniu francuskiego stowarzyszenia: „Société d'Encouragement au Bien” przyznano wysoką nagrodę korony obywatelskiej „Couronne Civique” szlachetnej filantropce M-me Fourtado Hoene, która, jak czytelnicy nasi wiedzą, wniosła w Paryżu wielkim nakładem, poświęceniem milionowej summy dom zdrowia i porady lekarskiej dla dzieci. Kilka medali zaszczytnego odznaczenia: „médaille d'honneur” otrzymały kobiety, z których pierwszy przyznano młodej jeszcze pannie Simonie Arnaud, autorce szlachetnie pięknej, wysokim uczuciem miłości ojczyzny ożywionego dramatu: „Les Fils de Jahel”. Pierwszą nagrodę poezji za „dobroczyńne wzruszenie uczuć dobrych i czystych” wzięła M-elle Mage. Cztery medale specjalne, udzielone cudzoziemkom za czyny dobroczynności publicznej, otrzymały: królowa Małgorzata włoska, królowa Krystyna hiszpańska, margrabina Del Bufaol della Yalle i M-me Capelano. Medal dla dobrych służących w rodzinie de Chevreul, jedna za 50, druga za 40 lat wiernej i uczciwej służby. Dodać trzeba, że medal, przyznany królowej Małgorzacie, został jej głównie udzielony za Schronienie dla niewidomych, które założyła w Rzymie, w gmachu dawnych kapieli Dyoklecjana. Koszta ponosi królowa ze swojej osobistej szkatuły.

— W dniu 20 Lipca odbył się w Lyonie turniej fechtunku, na którym pierwszą nagrodę

otrzymała młoda, siedemnastoletnia panna, Blanka Dricot. Wieczorem przydywała na ucztę, wyprawianą przez uczestników turnieju, na którym spełniono najpierw jej zdrowie, na co odpowiedziała wesoło i uprzejmie, gdy w tej właśnie chwili służący podał jej list, po którego odczytaniu tryumfatorce nagle zbladła i mdlejąca pochylała się na krzesło. Otrzęzwiona, załała się łzami, bo list pochodził od narzeczonego, adwokata Mouchet, który jej oznajmił zerwanie i wyjazd swój z Lyonu. Udawał się do Paryża i tam postanowił szukać żony, którąby umiała tak władać igłą, jak ona szpadą. Nie chciał łączyć życia swego z kobietą, której mężkie upodobania, musiałyby w pożyciu domowym źle oddziaływać na układ stosunków rodzinnych i wypełnianie obowiązków kobiety, stającą się matką i żoną.

— Francuskie stowarzyszenie kobiece pod wezwaniem Joanny d'Arc, odkryło i dowodnie wykazało nadużycia, których ofiarami padają dzieci rodziców Paryżan, oddawane na wykarmienie na wieś. Liczby wykazały, że niemal dziesiąta część rodzących się w Paryżu dzieci ginie okrutną śmiercią zagłodzenia, gdyż kobiety wiejskie przedstawiające się jako można, żywią je nędźnie papką z mąki i nierzadko wody, w miejsce mleka, przytem uciszają krzyczące, bo cierpiące niemowlęta usypiającym odwarem z makówek. Jeden z merów departamentu Eure et Loir, napisał do Rady Miejskiej Paryżkiej, że cmentarz zamieszkiwanej przez niego miejscowości zaludnia się przeważnie trupkami dzieci paryżkich, oddawanych na wykarmienie, którem trudnią się przeważnie kobiety stare, niemogące już być mamkami. Paryżka Rada Miejska wzięła rzecz do serca, ale jak zaradzić złemu, którego współniczkami są niejako matki nieszczęśliwych ofiar? „Trzeba innych obyczajów i innych uczuć, innego pojęcia obowiązków, aby rzecz była możliwa” odzywa się odpowiadający na to głos *Stowarzyszenia Joanny d'Arc*, w dorocznym sprawozdaniu swoim. „Synowie Francji giną mordowani w kolebkach, ludność francuska zmniejsza się, gdy niemiecka przyrasta corocznie; lecz więcej nadto: duch obowiązkowości i ofiary uchodzi z pomiędzy tej ludności, która pragnie tylko używania i pozostawia jedyną chęcią mało o co się troszczy. Żadne akta mężstwa i poświęcenia w godzinie ciężkiej walki o kraj rodzinny nie naprawią tego, co psują złe obyczaje i zatracenie świętych człowiekowi ideałów.”

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Strzeleckie stowarzyszenie** krakowskie odbyło dnia 25 Lipca turniej, którego nagrodą była *Stara Basń* Kraszewskiego, w pięknej edycji ilustrowanej przez Andriollego, ozdobnie oprawnej, i z szacownym autografem na pierwszej stronie: z własnoręcznym podpisem szlachetnej ręki, która książkę kreśliła. Towarzystwo otrzymało pamiątkowy ten egzemplarz od p. Franciszka Kraszewskiego, który zaraz pod podpisem ojcowiskiem umieścił czterowiersz:

„A dalejże, kozyrnicy!  
Krzescie kurki u rusznicy;  
Kto najcelniej strzelać będzie,  
Niechaj księgę tę zdobędzie...”

„Kozyrnik” znaczy w starym naszym języku celnego strzelca. Pierwszym z kozyrników krakowskich, okazał się p. Kazimierz Heine, który nagrodę zdobył.

— **Sympatyczny malarz** scen wojskowych, Rozen, przebywający w Monachium, maluje tam obraz z 1824 r. przedstawiający w Warszawie na Saskim Placu paradę, której przegład czyni wielki książę Konstanty. Twarze są portretowane.

— **Wystawa naukowa**, która we Wrześniu ma się odbyć w Wiesbaden, a z którą zostaje

w związku 60 towarzystw niemieckich badaczów natury, zapowiada się ciekawie. Z Niemiec, Austrii i Szwajcaryi niemieckiej oznajmiono 300 okazów, głównie nowych przyrządów i narzędzi do badania natury i stosowania odkryć naukowych.

— **Wystawa Paryżka** okazała się pod względem pieniężnym gorszą od lat innych, jakkolwiek opłata za wejścia przyniosła 323.190 frank. Ceny dzieł sztuki zniżyły się bardzo znacznie.

— **Włoski impresario** zbiera kwartet śpiewaków: (Sopran, Alt, Tenor i Baryton), któryby przy akkompaniamencie fortepianu mógł odtwarzać w sali koncertowej najpiękniejsze arye z opery Verdi'ego: *Otello*. Na karcie planu jego podróży po Europie znajduje się i Warszawa.

— **W kwestyi głodomorów** toczy się obecnie między uczonymi francuzkimi żywa polemika. Dwóch lekarzy paryżkich: E. Monin i P. Marchal poświęcili swe pióra wspólnym badaniom nad głodowym popisem włoskiego głodomora, Stefano Merlatti, dochodząc w wydanej przez siebie książce do wniosku, dowodzonego naukowo i stwierdzonego licznymi przykładami, że człowiek może żyć bez jedzenia kilka tygodni. W odpowiedzi na to ukazała się świeżo książka, napisana przez de Fonvielle: „Mort de faim après trente jours de jeûne,” w której autor dowodzi, że człowiek może co najdłużej przetrwać trzydzieści dni głodu, i kto jakoby dłużej bez jedzenia wytrzymał, jest oszustem, podstępnie zwodzącym dobrą wiarę łatwowiernych.

— **Wspomnienia lat sześćdziesięciu**, druga część pamiętników Legouvé'go, wyszła z druku i zawiera wiele zajmujących szczegółów z czasów upadku Ludwika Filipa, powstanie Rzeczypospolitej w r. 1848 i wstąpienie na tron Napoleona III. Znajdują się tam ciekawe wiadomości o Mussetcie, Lamartine'ie, Wiktorze Hugo, Scribe'ie i innych literatach i ludziach głośnych.

— **Tragik włoski**, znany z gościnnych występów i u nas, Ernesto Rossi, wydał pierwszy tom pamiętników swych we Florencji u księgarza Nicolai.

— **Zbiór listów Leibniza**, częścią oryginalnych, częścią w odpisach, których dotąd tylko niewielka ilość była znana publicznie, znalazł się w bibliotece uniwersyteckiej w Halli między papierami jednego ze zmarłych dawno profesorów tej wszechszkoły.

— **Pasteur** został obrany dożywotnim sekretarzem Francuskiej Akademii. Z tego powodu prasa paryżka podaje szczegóły jego życia. Urodzony w r. 1822 w Arbois, gdzie ojciec jego, dawny żołnierz napoleoński, posiadał garbarnię, okazywał wielkie zdolności malarskie w czasie nauki szkolnej w Arbois i wrócono mu przyszłość artystyczną. Przeszedłszy na uniwersytet w Paryżu, oddał się przeciw studjowaniu chemii i należał w tym kierunku do najzdolniejszych. Profesorowie Sorbony przecuwalili, że kiedyś zaznaczy się w świecie, on zaś uczuwał dla nich, zwłaszcza dla Dumasa (chemika) uwielbienie, jako dla przedstawicieli nauki, którą kochał i kochał namiętnie, uważając ją za dobroczynną dla ludzkości. Mimo okrutnych męczarni, na które wiwisekcy wskazuje zwierzęta, serce jego nie jest zimnem, ani okrutnem, ale uważa on to za nieuniknione prawo natury, aby pewne istoty były poświęcone dla dobra ogółu. „Nauka ma prawo powoływać się na powagę dobrego celu” — to jego zasada, rozgrzeszająca go za doświadczenia, którym się oddaje.

— **Pamiętniki Marszałka Mac Mahona** zostały przezeń ukończone, przeciw nigdy nie mają być ogłoszone drukiem i są jedynie przeznaczone dla jego rodziny i najbliższego koła przyjaciół. Pragnął on pisać szczerze i nieukrywać prawdy przekoń swoich w sądach o ostatnich wypadkach, które pozwoliły na upadek Francji, ale nie chciał obarczać zarzutami powalanej wielkości. Jest to szlachetna delikatność uczucia.

— **Świątynia Jerozolimka** — to tytuł dzieła, napisanego po niemiecku przez benedyktynę, którego świeckie nazwisko jest Odilo Wolf. Książka, mająca wyjść wkrótce z druku w Graden, zawiera zajmującą monografię Świątyni Salomona, w szeregu historycznych wypadków, rozgrywa-

jących się w ciągu wieków na starożytnym gruncie Judei. Plany świątyni, które autor do dzieła dołączył, są szczególnie zajmujące przez dokładność, jakiej dotąd żaden z pisarzy zdobyć nie zdołał. Jest przytem w texcie 8 rycin i jako artystyczny dodatek staloryt, przedstawiający wierne obraz świątyni, oraz mapa Jeruzalem z czasów Chrystusowych.

— **Rafael**, cenne dla dziejów sztuki dzieło zmarłego patryoty włoskiego, Marka Minghetti, zostało przełożone na język niemiecki przez Zygmunta Münz, co uprzystępnia jego poznanie „szerszej“ publiczności, nieznającej języka włoskiego.

## List naiwnej Wiedenki do przyjaciółki po powrocie z podróży.

(Dokończenie).

W ten sposób wyjechaliśmy. Wyrobiłam sobie przynajmniej to, że zabrałam koleczyki, cztery bransolety, dwie brosze, a do toalety najniezbędniejsze rzeczy: puder, goldcream, żelazko do zawijania włosów i funt otrąb migdałowych do mycia. Naturalnie, było to mężowi memu nie na rękę, a doktor ironicznie pytał: dlaczego nie biorę wielkiego swego lustra toaletowego i fortepianu? On bowiem wszystkie swoje rzeczy pomiescił w pledzie, przypuszczam, — że ten człowiek przez cały czas podróży nie mył się ani razu. Jeżeli to należy do naturofilstwa, to ja w takim razie muszę być bardzo prozaiczną istotą! Nieraz przychodziło mi później słuchać podobnego zęczenia się, gdy po dwóch godzinach ubierania byłam już zupełnie do podróży gotową; tym panom wydawało się, że to nadzwyczaj długo trwało. Byliby pewnie bardzo radzi, gdybym się myła pod studnią, jak to robią dziewczki od krów. Zauważyłam, że to nadzwyczajne zamiłowanie do natury czyni ludzi troszeczkę podobnymi do dzikich. Działy się bowiem w mej obecności, albo w pobliżu, rzeczy, które ci przy okazji opowiem.

Sama podróż byłaby bardzo przyjemną, gdyby tylko nie zbywało na wygodach, do których się człowiek przyzwyczaił.

Z tak bliska gór jeszcze nigdy nie widziałam; trzeba przyznać, że ładnie wyglądają, czasami jakby były upudrowane, mianowicie, gdy śnieg na nich się znajduje. Ah! a te pyszne róże alpejskie, które mi nasz przewodnik zrywał! Był to bardzo ładny mężczyzna, i, jak na chłopca, mówił rozsądnie, tylko czuć go było okropnie baraniną, co mi rozmawiać z nim wiele przeszkadzało.

A co za okropne drogi! powiadam ci, moje zwyczajne trzewiki w przeciągu kwadransa poszłyby w kawałki. Do tego bardzo często rano chłód, że nawet gruby kostium niezawsze mógł mnie od niego zasłonić. Co naturalnie lekarzowi dawało powód do rozwodzenia się nad praktycznością mego ubrania. Jakgdyby tylko po podobnych drogach i w czasie takich chłódów można było spacerować! A co za życie! Raz musiałam wstać o czwartej, wyobraź sobie, kochana Heleno, wstać o czwartej rano. Było to w oberży, w której do jedzenia, prócz zupy, pieczeni bara-

niej, kartofli i poziomek, nic dostać nie można było.

Bogaty wybór! — niema co mówić... Rozumiem doskonale, że na szczycie wysokiej góry nie można wymagać majonezu, ale pięć lub sześć zwyczajnych potraw nie byłoby nic nadzwyczajnego. A gdzie tam gotowano, kto gotował i jak gotowano, jakie naczynia — brrr... jeszcze w tej chwili, na samo wspomnienie, czuję dreszcz! Zdaje mi się, że jadłam bez serwety, a dla trojga mieliśmy jedną szklanę... teraz już wiem, jaką straszną rzeczą musi być ubóstwo!

A pościel? Nie rozumiem jakimś sposobem mogłam oko zmrużyć. Raz twarda, jak kamień, kiedy indziej można było się w niej utopić, a zawsze czuć ją było wilgocią. Pewnego wieczora, znalazłam stonogę pod materacem: małym apoplexyi nie dostała! Skutkiem tego za każdym razem wieczorem oglądałam szczegółowo, nietylko pościel, ale i ściany w naszej sypialni. I coś podobnego nazywają przyjemnością, wytchnieniem, zamiłowaniem natury!

Zdarzyło się, że w hotelu był tylko jeden numer niezajęty i skutkiem tego musieliśmy we troje spać w jednym pokoju. Co ty na to? Przytem księżyc był w pełni, a w oknach nie było ani firanek, ani rolet, ani nic w tym rodzaju! Wprawdzie doktor był tak dyskretnym, że przyszedł dopiero później i położył się twarzą do ściany, uczyniwszy wszystko co mógł, ażeby być przyzwyczajonym, lecz pomimo to — zdaje mi się, że przez całą noc nie spała. A doktorek zaczął w kilka chwil chrapać, przykrywszy się kołdrą na głowę, ale spał powiadam ci, jak piła poruszana maszyną parową. Muszę wyznać, że gdybym była mężczyzną, nie byłabym w podobnych okolicznościach chrapała. A przynajmniej nie natychmiast, ale ten pan, pomimo wściekłego zamiłowania do natury, nie ma żadnego poczucia poetycznego; najlepiej się to w tym wypadku ujawniło.

Niestety! nie wszystko można opisać; opowiem ci o tem jeszcze wiele rzeczy.

Wykonaliśmy nasz plan podróży prawie w zupełności. Ciągłe dalej i dalej bez wytchnienia i wypoczynku — zaledwieśmy się gdzie zatrzymali, jakotako połudzku urządzili i cokolwiek wytchnęli, następowała nowa pobudka i dalej w drogę! To nazywa się: praktycznie, logicznie, rozsądnie. Moi turyści utrzymywali, że należy wyzyskiwać pogodę i jaknajwięcej obejrzeć, zupełnie, jakgdyby wszystkie góry nie były do siebie podobne. Zgadzam się, że po całorocznym męczenniu się z trzema sługami, po wizytach oddawanych i przyjmowanych, — niezbędnym jest wypoczynek, ale nie podobna tak gnać co tchu starczy. Muszę wyznać, że się w tym czasie wcale zdrową czułam, nie cierpiałam na migrenę, ani nie miewałam zawrotów głowy, które w Wiedniu tak często mnie prześladowały, a apetyt mój nie pozostawiał nic do życzenia. Nie przypisuję tego jednakże, jak to czynił mój mąż, nadludzkiemu wysiłkom, lecz tej okoliczności, że prosto nie miałam czasu chorować.

Gdzieśmy byli i co wszystko widziałam, tego już dziś, naturalnie, nie pamiętam; zresztą znajdziesz to daleko bardziej interesująco opisanem w Baedekerze, aniżeli ja mogłabym to uczynić. Byliśmy na bardzo wysokim i karkołomnym szczycie, zdaje mi się, że się nazywa Schmittenhöhe, a gdzie, co doskonale zapamiętałam, jedliśmy żyłasty Roastbeef. Był tam także Anglik, ze strasznie cienkimi nogami, w towarzystwie dwóch starych dam, których ubiór przechodził wszelkie granice złego gustu. Na żart zanoto-

wałam je sobie i w następnym liście opiszę je szczegółowo. Ztamtąd, jeżeli się nie mylę, było widać Wielki Glockner, gdzie niedawno taka fatalna katastrofa miała miejsce. Uroniłam lże na samą myśl, że i nas mógł podobny los spotkać. O nas pewnieby tyle gwaru w pismach nie robiono, nazwaliby nas poprostu: w przepaść spadłymi turystami, i na tem basta! Nie pomieściłiby prawdopodobnie nawet naszych podobizn w ilustracjach — brrr... nie mogłam dłużej o tem myśleć, bo też to było straszne!

Aha, chciałam ci jeszcze donieść, że jadąc z Fuschl do — jakże się ta miejscowość nazywa? — do Heiligenblut, czy też do Kitzstein, nie jestem pewną — porobiliśmy w wagonie znajomości. To jest właściwie tylko ja, gdyż Leon i doktor zapiniowali, że jeszcze dotąd nigdy nie zdarzyło im się spotkać z równie obskurnym blagierem. Naturalnie, kto tylko nie mówi o tej nudnej polityce, albo przynajmniej o gleczerach i kilometrach był przez nich z góry potępionym. Powiadam ci, był to zachwycający młodzieniec w przeslicznym kostymie, wprawdzie alpejskim, ale bardzo szykownym, szczególnie kapelusik, z piórkami i własnoręcznie zerwanym kwiatkiem alpejskim, był mu bardzo do twarzy. Przytem szczebiotał ślicznie o teatrze, strojach i balach, a nawet, gdy wspomniała o terazniejszych złych sługach, opowiedział historią *à propos*, która mnie wiele zainteresowała. Prócz tego był znakomitym turystą, gdyż jak opowiadał — wracał z niebezpiecznego Kitzlochklam'u, a nazajutrz miał się wspinać na wysoką Salvę. Byłby z pewnością jeszcze więcej o swych śmiałych wycieczkach opowiadał, gdyby nie doktor, który ironicznym zdaniem przerwał mu odrazu, a prócz tego nazwał go potem osłą głową... No, proszę cię, powiedz, czy nie jest to niesłychana impertynencja: przerywać mowę, której z zajęciem słuchałam i nazwać mówiącego, który mi prawdziwą przyjemność sprawiał swem opowiadaniem, osłą głową! To zupełnie tak, jakbym ja także na to zasłużyła? A Leon zamiast stanąć w mojej obronie, wtórował mu. Doprawdy nie rozumiem dziś jeszcze, jak te dwa wielkie umysły mogły podróżować z tak ograniczoną, jak ja, kobietą?!

Opowiedziałam ci tedy rzeczy najważniejsze, z mojej tegorocznej alpejskiej podróży; szczegółły i jeżeli jeszcze sobie o niej cośkolwiek przypomnę, ustnie ci dopowiem. Jak powiedziałam, dziękuję Bogu, że jestem już w domu! Tu przynajmniej człowiek jest do stworzenia boskiego podobnym, ma niezbędne wygody! Co najmniej przyjdzie jeszcze z parę dni wypoczywać po tej *soi-disant* podróży!

A zatem do widzenia, kochana Heleno. Całuję cię szczerze. Twoja stara przyjaciółka

Hilda.

P. S. Dziś wydałam moją pokojówkę.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

**TREŚĆ** Motto do bajki, poezya, przez G. J. — Królewskie swaty, (dokończenie). — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicz. — Nowiny paryżkie. — Z działu przyrody, przez D. J. S. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — List naiwnej Wiedenki do przyjaciółki po powrocie z podróży, (dokończenie).

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 36 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarstwa. — Dyspozytę stołu.



## DODATEK DO BLUSZCZU,

N<sup>o</sup> 32.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

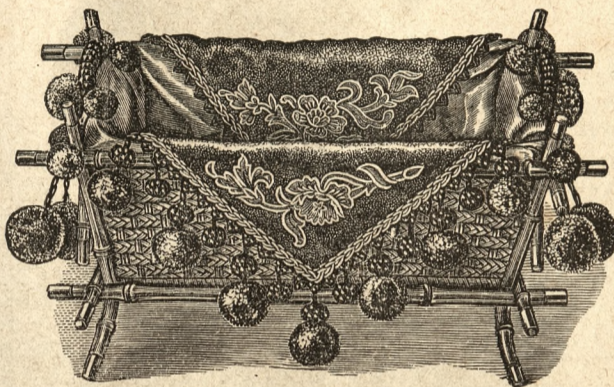
MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

## Koszyk do roboty.

Rycina Nr 1.

Koszyk z lyczka i trzciny, na bambusowych nóżkach w niklowem okuciu, 30 cent. długi, a 20 cent. szeroki, zaopatrzony w denko drewniane, wybity w środku atlasem „vieil-or“ i przyzdobiony dwoma zarzuconymi pokrowcami z pluszu ceglatego koloru, na których robotą nakładaną wyhaftowana gałązka kwiatów. Brzegi każdego pokrowca otoczone są szlaczkiem wykonanym złotą nitką i błyszczącą bawełną ceglata. Zrobiwszy łańcuszek potrzebnej długości z potrójnej złotej nitki, zakończyć takowy błyszczącą bawełną w następujący sposób. Ciągłe naprzemian: 1 o. ścis. 1 pikot (czyli 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w drugie ocz. i słup. oczko w piersze ocz.), 2 ocz. opuścić, poczem obszyć pluszowy pokrowiec, zwracając łańcuszek wypukłą stroną na wierzch i za-



Nr 1. Koszyk do roboty.

ny, wykonana kościanym szydełkiem, połączona z kołnierzykiem stojącym zakończonym ząbkami i przewleczonym wstążką repsową złożoną we dwoje. Robotę rozpocząć od górnego brzegu, na założeniu ze 104 ocz. Kolej 1 z powrotem: 3 o. opuścić, poczem ciągle naprzemian: 3 słup. w kolejne 2 ocz., 1 ścis. ocz. w następne ocz. Kolej 2: 3 powietrz. oczka., poczem ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w drugą żyłkę środkowego słupka z następnymi 3 słup., 3 słup. w następną żyłkę założenia, w końcu 1 ścis. ocz. w środkowe z 3 opuszczonych poprzednio oczek. Kolej 3: 5 pow. ocz. ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w drugą żyłkę środkowego słup., 3 słup. w swobodną żyłkę następującego oczka, w końcu 1 ścis. ocz. w środkowe z 3 pierwszych pow. ocz. Kolej 4 do 46 kolei jak poprzednia kolej, wszakże w 5 do 8 kolei należy wszędzie zamiast 3, po 4 słupki wykonywać,

w 9 do 14 kolei ciągle po 5 słup., w 15 do 20 po 6, w 21 do 26 po 7, w 27 do 32 po 8, w 33 do 36 po 9, w 37 do 40 po 10, w 41 do 42 po 11, wreszcie w 43 do 46 po 12 słupków, oprócz tego należy od 9 kolei, przy wykonywaniu słup., przed przerobieniem dolnej żyłki, zebrane oczka przerobić. Na kołnierzyk należy w oczkach założenia wykonać 11<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kolej, przyczem należy ciągle przerabiać obie żyłki oczek razem. Kolej 1 należy wykonać na środkowych 24 ocz., poczem w każdej z następnych 6 kolei należy przybierać po 10 ocz. założenia, w następnych zaś 4 po 5 tak, żeby wszystkie oczka założenia były przerobione. Kolej 12 ciągle naprzemian: po 2 podw. słup. w kolejne 2 ocz., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić. Kolej 13 ciągle naprzemian: 5 pow. oczek, 1 ścisłe oczko w żyłkę pomiędzy słupkami. Kolej 13 ciągle naprzemian: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w żyłkę pomiędzy słupkami. Kolej 14 ciągle po jednym łuku, złożonym z 1 ścis. ocz., 1 pół-słup., 3 słup., 1 pół-słup., 1 ścis. ocz. w kolejne 5 pow. ocz. Po-



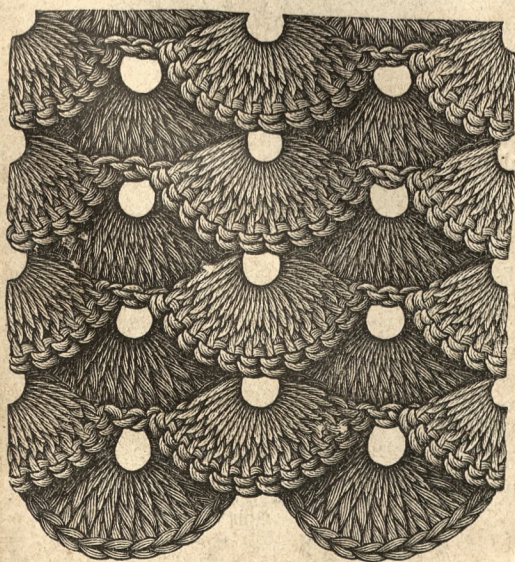
Nr 2. Pelerynka szydełkową robotą. (Do ryc. 3).

kończyć robotę bombelkami z błyszczącej bawełny, co drugi bombelek zaś pomponikiem z włóczki. Bombelki należy wykonać podług opisu przy koszyczku ryciny 34.

## Pelerynka szydełkową robotą.

Rycina Nr 2 i 3.

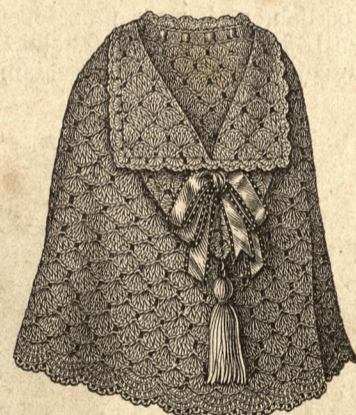
Pelerynka ta z ciemno-pasowej wel-



Nr 3. Część roboty szydełkowej do r. 2. Zmniejszona.



Nr 4. Parawanik do zastawienia kominka krzyżową i nakładaną robotą.



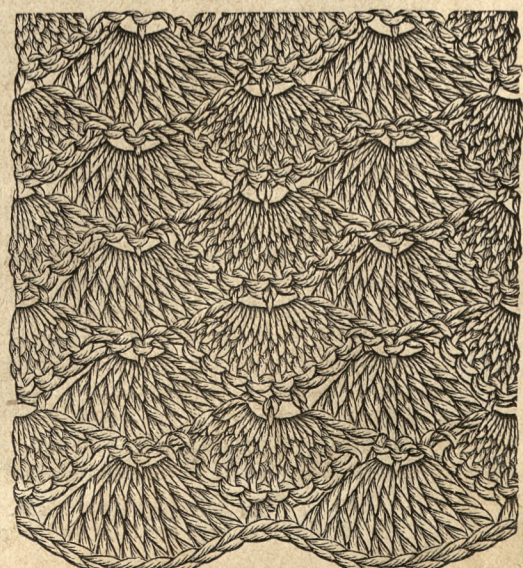
Nr 5. Pelerynka szydełkową robotą. (Do ryc. 6).

czem z przednich brzegów pelerynki należy wykonywać po 5 ścis. ocz. w każdy łuk z 5 powietrznych oczek.

## Parawanik przed kominek (ekran) krzyżową i nakładaną robotą.

Rycina Nr 4.

Parawanik złożony z trzech przedziałek

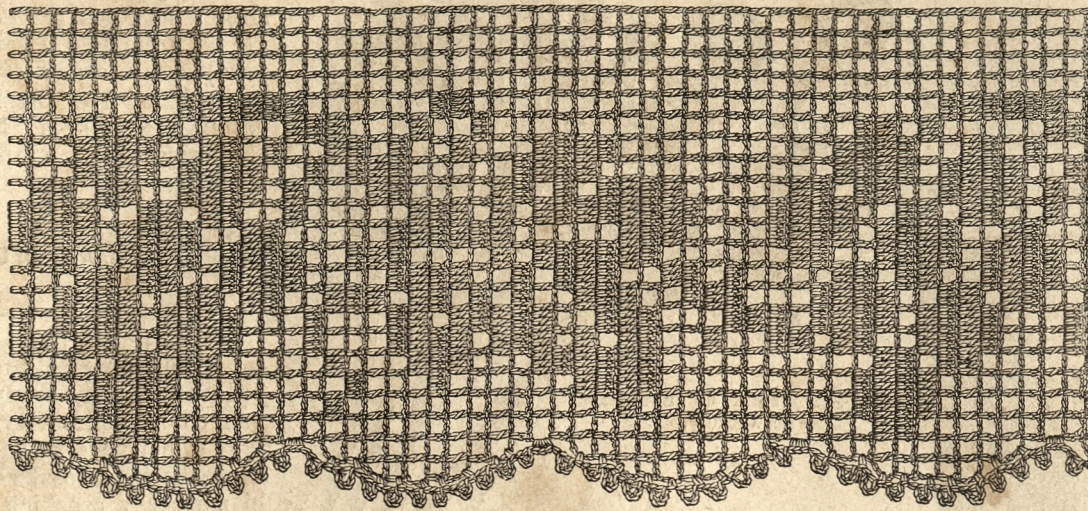


Nr 6. Część roboty szydełkowej r. 5. Zmniejszona.

**Suknia z gładkiego i w kratę materiału.**

Rycina Nr 25.

Spódnice 225 cent. szerokość uzupełnia wolant z szarego materiału w pasową kratę, 300 centim. obwodu mający, z przodu gładko, z tyłu w sute fałdy zebrały, prawy bok zdobi kontrafalda z gładkiego szarego materiału, 20 cent. szeroka. Tiunikę ukroić z materiału gładkiego, podług fig. I i II, wszystkie znaki odznaczyć centimetrem podług liczb, od punktu a; liczby w konturach bocznych oznaczają długość części, liczby wewnętrzne służą do zeszywania części. W każdej części zamocować † na kropce, z lewej strony tiuniki zeszyć od liczby 1 do 2, poczem wszyć w pasek razem ze spódnicą, w ten sposób, ażeby obie części z prawego boku rozchodziły się w górę na 10 cent. Stanik na biodrach podcięty, przybrany z przodu od ramion do bawetu, z tyłu zaś do wcięcia w plecach gładkim materiałem, tudzież kamizeleczką z kremowego su-rah; 4 pukle z wstążki pasowej w pięknym gatunku, zdobią prawy bok sukni podług ryciny.



Nr 29. Koronka robotą szydełkową.

ciem z pluszu ceglatego, tudzież gałązką wykonaną szydełkiem z błyszczącej bawełny; w środku wyłożony ceglastym atlasem i zaopatrzony w denko tekturowe obciągnięte atlasem; każdą gałązkę należy wykonać oliwkową bawełną sposobem następującym: 6 pow. ocz., z powrotem 1 ocz. opuścić, 1 ścis. ocz. w każde kolejne ocz., \* na każdy listek 8 pow. ocz., z powrotem 1 oczko opuścić, 1 pół-słup., 2 słup., 1 pół-słup., 1 ścis. o., 1 łańc. ocz. w najbliższe 7 pow. ocz., jeden listek jak poprzedni, poczem 1 ścis. ocz. łańc. w te same ocz., z którego przerobiono łańc. ocz. poprzedniego listka, nitkę przeprowadzić na lewą stronę, pomiędzy dwa listki, 5 pow. ocz., od \* 1 raz powtórzyć, poczem jeszcze jeden listek. Na sznur zdobiący boki koszyka należy wykonać szydełkiem, podwójną nitką bawełny, łańcuszek odpowiedniej długo-

go i przesianego imbiru i dusić, aby było całe dwie godziny od wyspania cukru. Wtedy prętasować przez durszlak, a po wystudzeniu schować w kamiennych słojach, używając jak każdej marmolady do pieczystego, do naleśników, ciast i t. p., kto ma dużo moreli i może domieszać do tego jakąś część dojrzałych, obranych ze skórki moreli, pokrajanych w kawałki, dusząc razem z dynią, będzie miał wszystką marmoladę jakby z moreli. Naturalnie dodając moreli, trzeba dodać w proporcji cukru.

**Zupa ogórkowa.**

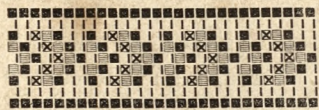
Trzy duże kwaszone ogórki obrane pokrajać w plasterki, posypać mąką i przysmarzyć w rondlu na masle. Gdy dobrze przesmarzone, zalać oddzielnie gotowanym rosółem, lub jeżeli ma być postna, smakiem z włoszczyzny, gotując dobrze pół godziny. Następnie precedzić zupełnie na cztery osoby kwaterek dobrej kwasnej śmietany i podać z grzankami w kostkę smarzonemi lub pierożkami drożdżowemi z mięsem. Kto nie lubi, lub nie może jadać zup ze śmietaną, niech rozbije na miseczce 4 żółtka z odrobiną masła, rozrobi to gorącą zupą, wleje w wazę, a na to wrzący rosół ogórkowy, mieszając ciągle łyżką w wazie, aby się żółtka nie zwarzyły.

L. C.

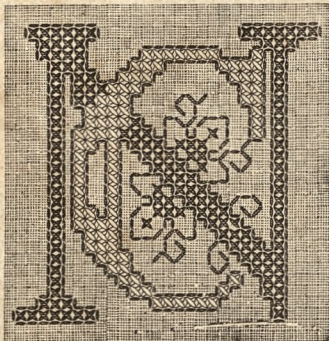
**Koronka szydełkową robotą.**

Rycina Nr 29

Koronka z kremowych nici, wykonana w kierunku szerokości, zakończona kilkoma kolejami wzdłuż roboty. Robotę rozpocząć na założeniu z 65 oczek. Kolej 1 z powrotem: 7 ocz. opuścić, 8 razy naprzemian: 1 sł. w następnym ocz., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 7 sł. w kolejne 7 ocz., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 2 razy naprzemian: 1 słupek w kolejne ocz., 2 pow. o., 2 ocz. opuścić, 7 słupków w kolejne 7 ocz., 4 razy naprzemian: po 2 pow. o. 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 2: 5 pow. ocz., 1 sł. w drugi z rzędu słup., 2 razy naprzemian po 2 o. pow., 1 słup. w następny słup., poczem 2 pow. o., 4 słup. w kolejne 4 słup., 2 razy naprzemian: po 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., poczem 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 13 słup., 8 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. W ten sposób dalej, podług deseni, przez całą długość roboty, poczem dolny brzeg koronki zakończyć pikotem w następujący sposób: \* 2 ścis. ocz. w brzeżne ocz. w zagłębieniu łuków 1 ścis. ocz., 10 razy po 1 odwrotnym pik. (to jest: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 1 z tychże, 1 ścis. ocz. w brzeżne ocz. następnej kolei, poczem od \* powtórzyć.



■ ciemno-brązowy, □ jasno-brązowy \* pasowy, - tło. Nr 30. Szalczek krzyżową robotą.

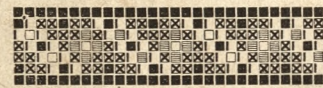


Nr 32. Znak haftowany.

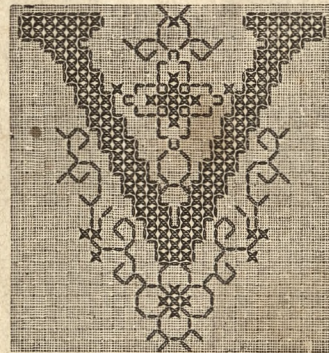


Nr 34. Koszyk na kłębki z włóczką.

ści, który przymocowawszy na koszyku w festonach, należy zakończyć kwastami, obwiązaniem złotą nitką i bombelkami wykonanemi szydełkiem. Na każdy bombelek należy 5 pow. ocz. zamknąć w kółeczko, poczem 2 pow. ocz., 10 słup. w kółeczko 1 ścis. ocz. łańc. w pierwsze ocz., nitkę obciąć, zostawiając dość długi koniec, na ten ostatni nawlec igłę wszystkie górne żyłki przewlec i ściągnąć mocno, przeszyć raz przez środek od góry do dołu i krótko obciąć, poczem przewlec kuleczkę podwójną nitką bawełny zakończoną mocnym supelkiem i kilka bombelków połączyć razem w jeden kwaścik. Pałeczki z trzciny i górny brzeg koszyka, owinięte są podług ryciny prostym łańcuszkiem z bawełny oliwkowego koloru.



■ czarny, \* zielony, □ pasowy, □ złoty, ' tło. Nr 31. Szalczek krzyżową robotą

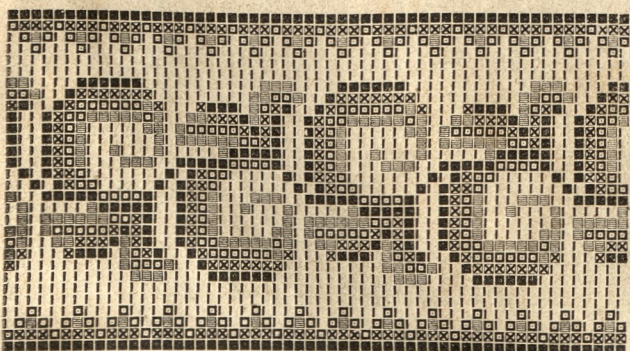


Nr 33. Znak haftowany.

**Koszyk na resztki włóczek.**

Rycina Nr 34.

Koszyk z pleśni trzciny na bambusowych nóżkach w niklowym okuciu, ozdobiony przepię-

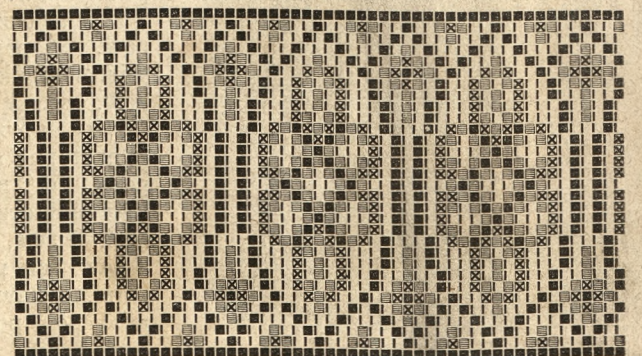


■ pierw. (najc.), \* drugi, □ trzeci (najjaś.) zielony, □ pasowy, ' tło. Nr 35. Szalczek krzyżową robotą.

**Przepisy gospodarskie.**

**Marmolada z dyni naśladująca morelową.**

Oprócz wielorakiego użytku, jaki w kuchni przedstawiają dynie, robi się z nich wyborna marmolada. Wybrawszy wyborowy gatunek żółtej zupełnie dyni, obrać je ze skóry, wybrać ze środka pestki i tak zwany miękisz, czyli włókno, pokrajać na kwadratowe



■ pierw. (najc.), \* drugi, □ trzeci (najjan.) niebieski. ' tło. Nr 36. Szalczek krzyżową robotą.